9748

Bibl. Jag.

IV



Fotografował St. Bizański w Krakowie.

STARA WIERZBA

stojąca przy drodze, która od gościńca mogilskiego na lewo do Olszy prowadzi.

WIERSZ

DO STARÉJ WIERZBY

i oraz pożegnanie takowéj

od

Dra Józefa Brodowicza.

Wierzbo moja ulubiona!
Pamiętna mi dotąd chwilka,
Gdyś była tu posadzona
A przy tobie jeszcze kilka.
Wtedy stałaś tuż przy brzegu,
Gdzie było koryto duże,
Kędy Białka w swoim biegu
Lizała twoje podnóże.
Naprzeciw po drugiéj stronie
Zajmował obszerne błonie
Gęsty, stary las olchowy,
Gdzie kozy, owce i krowy
Bujną trawę spożywały
Albo w cieniu spoczywały;
Nad rzeką wisiała kładka,
Kędy z dziećmi ojciec, matka
Lub z pannami kawalery
Przechodzili na spacery,
Niosąc z sobą czasem w dzbanie
Kawę, mléko na śniadanie,
Albo koszyki i worki
Z prowiantem na podwieczorki.
Wtedy bowiem Kraków stary,
Za trzech monarchów ugodą,
Został republiką młodą,
Chociaż bardzo drobnéj miary;
A że ziemia téj wolnizny
Wydaje plon bardzo żyzny,
Zatém nie brakło mu chleba
Ani soli z łaski nieba.
Innych potrzebnych przedmiotów
Jakiegokolwiek rodzaju,
Skoro ich nie było w kraju,
Kupiec dostarczyć był gotów,
Zwłaszcza, że te rekwizyta
Sprowadzał, nie płacąc myta.
Ztąd wszystko bywało tanie,
Żywność, odzież i mieszkanie:
Więc nietylko pan bogaty
W mieście żył sobie wesoło,
Lecz i po wsiach naokoło
Każdy chłopek wśród swéj chaty.
Jakoż od roku początku
Stały na dziennym porządku
Sute wieczory, biesiady;
A w następnym karnawale
Domowe, publiczne bale,
Reduty i maskarady.
Na tych tylko wyższe stany
Wyprawiały sztuczne tany,
Kiedy szynków rzęd obfity
Zabawiał lud pospolity.
Tu więc, byle grajek jaki
Rżnął od ucha krakowiaki,
Młodzież ochoczo tańczyła,
A starszyzna gwarząc piła.
Lecz i biskup i prałaci
Wtedy jeszcze dość bogaci,
A przy nich liczne falangi
Księży świeckich różnéj rangi;
Wreszcie mnichów, mniszek roje
Przyodzianych w różne stroje:
Słowem, wszystkie te osoby —
Tylu kościołów ozdoby,
Że Kraków otrzymał miano,
Iż go „Małym Rzymem“ zwano —
Załatwiwszy ducha sprawy,
Lubiły użyć zabawy
Różnéj, tak po księżych dworach,
Jak i po różnych klasztorach.
Wszakże najwięcéj kapłanów
Świeckiéj i zakonnéj klasy
Zamożniejszych w owe czasy,
Naśladowało w téj mierze
Główną zabawę profanów:
Więc obiady i wieczerze
W mniejszem albo większem kole
Rozrywały ich przy stole.
Ztądto wszędzie bankiet tłusty
Kończył święta i odpusty,

Na którym księża i mnichy
Spełniali winne kielichy,
A piwne kufle braciszki.
Gdy przeciwnie, skromne mniszki
Potępiały ich zabawę
I spełniały raczéj kawę
Lub herbatę ze śmietanką
Dubeltową filiżanką.
Przyczém żwawa pogadułka
Tocząca się w gronie kółka,
Tudzież cukrowe łakotki,
Konfitury i pierniki,
Produkta własnéj fabryki,
Przegradzały napój słodki,
Póki dzwonów głos ponury
Nie powołał ich na chóry,
Gdzie po kawie, piwie, winie
Modlono się po łacinie.
Zgoła byłto kącik luby,
Póki spiski głupich żaków
I kilku pseudo-Polaków
Nie przywiodły go do zguby.
Ty, moja wierzbo, tymczasem
Rosłaś swobodnie pod lasem
I przed mojemi oczyma
Rozrosłaś się na olbrzyma,
Którego smukłe konary
Kryje gęsty dach zielony
I na kształt ogromnéj chmary
Rzuca cień na wszystkie strony.
Ale cóżto za różnica
Jakiéj twoja okolica
I Rzeczpospolita cała
Od lat trzydziestu doznała!
Dziś już nie widać strumienia,
Który wilżył twe korzenia,
A w suchem jego korycie
Krzewią się chwasty sowicie;
Kędy zaś szło się po ławie,
Przejdzie dziś każdy po trawie,
Skoro nie czuje odrazy
Nawiedzić dzikiéj oazy,
W jaką bujny las olchowy
Zamienił wyrok surowy.
Jednocześnie moje losy
Niemniéj się także zmieniły:
Posiwiały stare włosy,
Zwiędło ciało, znikły siły;
Włóczę się, jak cień po świecie,
Póki mię Kostuś nie zmiecie:
A do tego wszystkich prawie
Czułych niegdyś na mą dolę
Przewiózł Charon w swojéj nawie
Już na elizejskie pole,
I nabawił mię żałoby,
Która dręczy do téj doby.
Podobnie i twoje siostry,
Sadzone tu niegdyś razem,
Zagładził czasu ząb ostry,
A może zły człek żelazem!
Ztąd aczkolwiek między nami
I to pod wielu względami
Ważne zachodzą różnice,
To ból takiż sam przenika
Ciebie w polu samotnicę,
Jak mię w mieście samotnika.
Owóż zanim śmierci goniec
Ogłosi mi życia koniec,
Przylazłem tu w czoła pocie,
By odpocząć w twym namiocie
I podumać tu przez chwilę:
Co się będzie z duchem działo,
Gdy opuści stare ciało
I pożegna przy mogile,
Powtóre: bym raz ostatni
Dał ci pocałunek bratni
I uściskał pień omszony
Jeszcze raz memi ramiony;
Wreszcie, bym cię czułem pieniem,
Pożegnał z takiem życzeniem:
Bodaj nigdy twoja kora
Nie znała ostrza topora,
A rozłożysta korona
Bujnym liściem umajona,
Niech rzuca na wszystkie boki
Z każdą wiosną cień szeroki,
Pod który przed słońca żarem
Mógłby się schronić wędrowiec,
Albo pasterz krów lub owiec,
Albo myśliwy z ogarem.
Zgoła, życzeć wierzbo miła,
Ażebyś tak długo żyła
I to ustronie zdobiła,
Dopóki sama dryada,
Która twojem ciałem włada
Nie porzuci swojéj chaty
Zniszczonéj setnemi laty,
Poczém, niech wiatry rozdmuchną
Na wszystkie strony twe próchno,
By dostarczało żywioła
Wszelkim roślinom dokoła.

POEZYA FAJKI.

Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
To palże je przynajmniéj w tureckich stambułkach,
I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
A ta niech go powoli kłębami wydmucha,
Napełniając komnatę balsamiczną wonią,
Jaką tylko sułtańskie złote listki ronią.
Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły;
Wreszcie zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
Bo ten doda powagi i fajce i tobie.
Poczem utoń na sofie lub w krześle głęboko,
Zamróż oczy i puszczaj myśl w ubiegłe lata,
A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
Wznieś ducha nad poziom i marności świata —
Niech rozgrzany miłością, wiarą i nadzieją,
Szybuje lotem orła, aż gdzie gwiazdy tleją,
I marzy o rozkoszach lepszego żywota,
Skoro go raz z cielesnych więzów śmierć wymota.
Tak więc fajka wprawi cię w poetyczne mary,
Jakiemi prozaiczne nie natchną cygary.
Które dzisiaj młódź, starzy, a nawet kobiety,
Bez względu na płeć, zdrowie, z ujmą etykiety,
Niby lunt gorejący w ustach, ciągle żują,
Siebie wędzą, a drugich ostrym dymem trują.

POEZYA FAJKI.

Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
To palże je przynajmniej w tureckich stambułkach,
I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
A ta niech go powoli kłębami wydmucha,
Napełniając komnatę balsamiczną wonią,
Jaką tylko sułtańskie złote listki ronią.
Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły;
Wreszcie zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
Bo ten doda powagi i fajce i tobie.
Poczem utoń na sofie lub w krześle głęboko,
Zamróż oczy i puszczaj myśl w ubiegłe lata,
A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
Wznieś ducha nad ten poziom i marności świata —
Niech rozgrzany miłością, wiarą i nadzieją,
Szybuje lotem orła, aż gdzie gwiazdy tleją,
I marzy o rozkoszach lepszego żywota,
Skoro go raz z cielesnych więzów śmierć wymota.
Tak więc fajka wprawi cię w poetyczne mary,
Jakiemi prozaiczne nie natchną cygary,
Które dzisiaj młódź, starzy, a nawet kobiety,
Bez względu na płeć, zdrowie, z ujmą etykiety,
Niby lunt gorejący w ustach ciągle żują,
Siebie wędzą, a drugich ostrym dymem trują.

EPIZOD DO POEZYI FAJKI

w dniu czterechset-letniéj rocznicy urodzin Kopernika.

Kopernik nie znał wprawdzie cygarów ni fajki,
Lecz dumał i wędrował po niebiosach w duchu,
I tam on dostrzegł ziemi koło słońca ruchu;
Wykrył prawdę, rozproszył przeciwników bajki.
Więc i ty, jeżeli chcesz uniknąć ułudy
Setnych bajek, jakiemi kłamcy durzą ludy,
I dopatrzeć się prawdy w brudnym ich zamęcie,
To wędruj z nim po jasnym niebios firmamencie;
Gdyż tam, gdzie wiecznym blaskiem miryady gwiazd
[świecą,
Jawną jest wszelka prawda, a błąd tajemnicą.

POST SCRIPTUM.

Zresztą pal sobie fajkę w tėj lotnėj podróży,
Boć jėj dymek bynajmniėj nieba nie zachmurzy;
A może nawet zapach miłėj jego woni,
Sławnego astronoma do palenia skłoni?
Co ujrzawszy niejeden mędrzec znakomity,
Czyto Grek, czy Rzymianin, czyli jakiś inny,
Przed wykryciem nowego w starym świecie słynny,
Gotów pójść za przykładem naszego Lechity,
I pociągnąć za sobą naśladowców trzodę,
Tak, że tytoń i fajka i tam wejdą w modę.
Poczem jakiś z krakowskich ferlegerów rzeszy,
By dogodzić duchowych fajczarzy potrzebie,
Wziąwszy pakę sułtana, oraz piwa beczkę,
Wsiędzie zaraz na balon i do nich pospieszy;
I otworzy najpierwszą trafikę na niebie,
A tuż obok dla gości „wielmożną knajpeczkę.“

W Krakowie dnia 19 Lutego 1873 r.

POEZYA FAJKI.

Jeżeli już smakujesz w Nikocyany ziółkach,
To palże ją przynajmniéj w tureckich stambułkach,
I prowadź dym do gęby kominem cybucha,
A ta niech go powolnie kłębami wydmucha.
Antypki bursztynowe niech wieńczą infuły,
Iżby warg nie raniły i zębów nie psuły.
Wreszcie, zawieś nań suty kutas ku ozdobie,
Bo to doda powagi i fajce i tobie.
Potem utoń na sofie lub w krześle głęboko,
I puszczaj myśl swobodnie w upłynione lata,
A odwilżając czasem usta czarną Mokką,
Przymróż oczy i dumaj nad marnością świata.
Tak ustroisz urokiem poezyi twe mary,
Jakiego prozaiczne nie znają cygary,
Z któremi młódź i starzy, nic nie myśląc, chodzą,
I siebie wędzą, a drugim ciągle tylko smrodzą.

Tęsknota za miłością.

Próżno twe oczy wyśledzić się kuszą
Tego coby czuł równie z twoją duszą!
Napróżno chciwie wyciągasz ramiona —
Cień tylko chwytasz cień tulisz do łona.
Czemuż mię dręczysz niesyta tęsknoto,
Czemu wymagasz niebiańskiéj rozkoszy,
Kiedyż samotna na ziemi sieroto,
Kiedyż twe mrzonki doświadczenie spłoszy?
Czyż mało ciosów czyliż mało burzy?]
Pień zgruchotany piorunem się kurzy,
A wątły korzeń darmo się wysila,
Bo już nie wróci odrodzenia chwila.
Miłości święte ale czcze nazwisko!
O marne bóstwo poznawszy cię blisko
Egoizm tylko ujrzym w twéj postaci,
Który nam szczérość oszukaństwem płaci.

W napadzie hypokondryj w r. 1816.

Leonowi Uszczapowskiemu, młodemu lekarzowi i koledze, na pamiątkę przy odjeździe w Wiedniu r. 1816.

Zacny kochany Leonie!
W jakiéjkolwiek świata stronie,
Czyli tam zajdziesz swobodnie,
Czyli porwawszy za włosy
Zarzucą cię raczéj losy,
Znajdziesz cnoty znajdziesz zbrodnie.
Ach świat wszędzie jednakowy
Czy z téj czy z tamtéj połowy.
Inny zwiérz inna roślina
Karmią wprawdzie ziemi pana,
Lecz ta pokarmu odmiana
Nie zmieniła Ewy syna;
Kształt i barwa ludzi dwoi,
Kain z Ablem wszędzie stoi.
Gdy po ojczystym dziedzińcu
Chłopczyk dorwawszy się kija
Wesół wkoło domu zwija,
Nie dba jak tam na gościńcu

Jeździec z pieszym, z bryką bryka,
Już się ściera już wymyka;
Nie dba kto kogo wyściga,
Kto pierwszy u mety stanie,
Kto winien konie czy biga,
Lub czyli wina w furmanie;
Gdy złamie rumaka swego,
Blisko płot wnet ma drugiego.
Ale ach przyjdą te lata,
Gdzie trza wyjść z lubéj zagrody
I puścić się traktem świata,
By nowéj szukać gospody.
Szczęśliwy komu z wyroku
Dobry przewodnik przy boku;
Lecz więcéj tego szanuję,
Co bez wodza i przestrogi
Sam dobréj chwycił się drogi,
Kogo własny duch kieruje,
I własném uczuciem śmiały
Przebywa rowy i skały...

Pogląd w niebo przy pogodnéj nocy.

Kiedy ku wam zwrócę oko
Złote gwiazdy, co wysoko
Pełne blasku i pociechy
Patrzycie na ludzkie strzechy,
A potem spojrzę naokoło siebie,
Gdzie noc w letargu wszelki żywot grzebie:
O jakaż wtedy tęsknota
Za miłością sercem miota...
Zaraz czarna mgła ćmi oczy
I łza strumieniem się toczy,
A pierś ściśniona jękiem tylko jawi
Gorącą żałość która wnętrze trawi.
Tronie Boskiéj wspaniałości
I wiekuistéj Światłości,
Gdzie czysta prawda połyska
Śród nieśmiertelnych siedliska!
Czemużż ach duszę dla Ciebie stworzoną
Więzi głęboko ciemnéj nocy łono?

R. 1856.

Charakter.

Myśli, czucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonéj z różnéj człeka każdego przyrody;
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życia swojego rozmaitéj porze.
Najwięcéj go odmienia sam zawód społeczny,
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Ztąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym człeku
Jeszcze rzadziéj tenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

Do Pana Władysława Klugera, Profesora przy uniwersytecie Peruańskim w Limie. Przy odesłaniu mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawi przed oczyma
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyma;
Tudzież Żony, jak równie Jéj Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytém życzę ażeby w Peruańskiéj Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda,
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda;
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodyczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojém towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą
Do mojego mieszkania; innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniéj domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłéj chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszéj zabawy;
Ale skoro naglejszéj zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić, lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.

Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiejkolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

KWIATKI POLNE.

Wydanie powtórne, pomnożone.

Kosztem Wydawcy; na cele dobroczynne.

W Krakowie,
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1872.

Przedmowa wydawcy.

Zbieracz tych Kwiatków ograniczył swój **zielniczek** do bardzo szczupłéj liczby dubletów (100), które pomiędzy swoich Przyjaciół porozdawał.

Należąc do ich grona od pół wieku i pragnąc rozpowszechnić ten zbiorek skromnych rymów, wymógłem na nim, po długim oporze, pozwolenie do powtórnego wydania, własnym kosztem, w nierównie większéj ilości egzemplarzy, pod warunkiem, iż cała kwota ze sprzedarzy onych otrzymana, na cele dobroczynne obróconą zostanie; na co przystał wreszcie mój przyjaciel, i do nowéj edycyi jeszcze kilka kwiatków przyrzucił.

J. F. F.

Do Pana
Jana Franciszka Fischera.

Zapragnąłeś mój drogi Przyjacielu stary,
Bym dozwolił rozmnożyć moje Kwiatki polne,
Zrywane na wędrówce przez życie mozolne,
I chowane na skromne dla Przyjaciół dary.
Żeby mnie zaś nakłonić z sobą do ugody,
Przytaczałeś szczególnie dwa główne powody:
Pierwszy, byś mógł dogodzić takim, którzy marnie
Chcąc ich nabyć, kłopoczą tutejsze księgarnie;
Drugi zaś, iż plon, jaki przyniesie to ziele,
Chcesz oddać na jakiebądź dobroczynne cele.
Powód pierwszy, dla dumy literackiéj miły,
Pokonać mego wstrętu nie miał żadnéj siły;

Zwłaszcza, że bardzo wątpię, by moja chudoba
Znalazła dużo takich, którym się podoba?
Lecz na drugi argument Twojéj pięknéj duszy,
Trudno już było dłużéj zatykać se uszy.
Więc rozmnóż — i bogdajbyś zebrał plon bogaty!
A wtedy i ja pocznę cenić moje kwiaty.

J. B.

PRZYJACIOŁOM

NA PAMIĄTKĘ.

Poświęcenie.

Polne kwiatki, jakie rosną
W zimnéj strefie z pierwszą wiosną,
Gdy się trawka zazieleni,
Albo téż w późnéj jesieni,
Przy słońcu babiego lata,
Kiedy ciepło szron przeplata,
I wnet martwą zimę wróży —
W smutnych i wesołych dobach
Mozolnéj życia podróży,
Po borach. łąkach i grobach,
Nawiasem tylko uszczknione
I w ten wianuszek splecione, —
Nie dla jakiéjś marnéj chluby,
Lecz by zachować od zguby
I nie oddać poniewierce,
Co duch myślał, czuło serce.
Owóż ja to proste ziele,
Wątłéj barwy, słabéj woni,
Zanim bliska śmierć dogoni,
Wam poświęcam Przyjaciele!

A poświęcam w dobréj wierze,
Że przyjaciel nie przebiera,
Ale wszystko chętnie bierze,
Co mu niesie przyjaźń szczera!
Zróbcie z niém, jak chłopak z wiankiem,
Który sobie w skwarném lecie,
Nucąc cicho, w cieniu plecie;
A potém z duszną pociechą
Wiesza na krzyż lub pod strzechą:
Zawieście go choć pod gankiem!
A poglądając nań chwile,
Wspominajcie tego mile,
Który Was czcił i miłował,
Gdy po téj ziemi wędrował;
I jeszcze po ciała zgonie,
Kiedy już Psyche skrzydlatą,
Cisnąwszy ten kącik świata,
Gdzieś tam w morzu gwiazd utonie,
Zawsze jednako i wszędzie
Czcić i miłować Was będzie.
Gdyby zaś mój upominek
Żadnych względów nie był warty,
To podarłszy liche karty,
Rzućcie na ogień w kominek!

M. J. B.

DODATEK.

Druga podróż do Gastunia 1872 r.

Artykułem powszechnéj, bardzo dawnéj wiary
Jest, iż w zdrojach Gastunia odradza się stary;
A tameczni doktorzy twierdzą jednozgodnie,
Że na to wystarczają prawie trzy tygodnie.
Jakoż raz doświadczywszy już tego uroku
W sześćdziesiątym i czwartym życia mego roku,
Zapragnąłem doznać go jeszcze po raz wtóry:
Więc pojechałem znowu w dzikie jego góry.
Lecz tą razą zawiodły mnie moje zamiary:
Gdyż, jako wyjechałem, tak wróciłem stary!
Widząc zatém, jak mylne doktorów zasady
I kapryśne fawory gastuńskiéj Najady;
I zważywszy, jak głupia chęć zmuszać naturę,
Ażeby stojącemu na progu mogiły
Powróciła zużyte długim wiekiem siły
I wygładziła jego pomarszczoną skórę:
Wolę raczéj uwielbiać Boga w jawnym cudzie,
Że tak długo chowa mnie w téj glinianéj budzie,
I pozwala dogrywać wyznaczonéj roli,
Dopóki ducha mego śmierć z niéj nie wyzwoli.
Wtędy Ten, co go stworzył, by w ludzkiéj postaci
Postarzał się na ziemi w służbie swoich braci,

Odrodzi go na prawdę, opłókawszy z kału,
Jakim w ciągu pielgrzymki śród różnego tłumu
Zbryzgały go obłędy słabego rozumu,
I pokusy właściwe zwierzęcemu ciału.
Potém zaś odzieje go w szatę świetnéj krasy
I wyprawi na kolej duchów wyższéj klasy.
Ażeby razem z bracią nowego zakonu
Wspinał się coraz wyżéj po szczeblach mądrości
I zbliżał coraz więcéj do Bożego tronu;
Póki wreszcie stanąwszy u jego podnóża,
Nie ujrzy swego bytu śród światłości morza
I nie zacznie kosztować anielskiéj miłości.

Człowiek gąsienica.

Duch człeczy z Bożéj wypuszczon prawicy,
Wiedzie na ziemi żywot gąsienicy:
Więc ciągle żuje, spoczywa i łazi,
Póki w poczwarkę się nie przeobrazi;
Która, zasuta w grobowéj mogile,
W proch się obraca, z którego powstała;
Kiedy tymczasem Psyche wiecznie trwała,
Z niéj się wykłuwa jak hoże motyle,
A skoro tylko skrzydełka rozwinie,
Leci do góry i w obłokach ginie;
Wracając znowu na Ojcowskie łono,
Gdzie morzem światła gwiazd miliony płoną;

Tam ona z bracią starszymi pospołu,
Kosztuje odtąd Boskiego żywiołu!

Człowiek balon.

Jako ów balon, palnym gazém rozdęty,
Puszczon w powietrze wznosi się do góry;
Gdzie prądem wiatrów w różne strony pchnięty
Lata, dopóki nie przedrą mu skóry:
Poczém gaz palny umyka w obłoki,
A w dół spadają puste jego zwłoki:
Tak duch człowieczy, w ciele uwięziony,
Myślą i wolą party w różne strony,
Miota się, walcząc z wichrami żywota;
Dopóki swego nie zburzy więzienia,
Nie przedziurawi ściany lub sklepienia,
Lub krusząc rygle, nie wysadzi wrota.
Poczém robakom gruzy na żer ciska,
A sam pospiesza do Niebian siedliska.

Prawda i poezya.

Prawda surowém patrzy na świat okiem;
Poezya swoim krasi go urokiem,

Dopóki dusza w silném ciele gości,
Wolném od chorób, opodal starości;
A zatém zdolném pełnić jéj rozkazy,
Mądre czy głupie — bez własnéj obrazy.
Lecz skoro ciało choroba osłabi
Lub niedołężna starość w nim przemaga,
Urok poezyi już ducha nie wabi,
Bo wszędzie prawda występuje naga.

Ludzkie sądy.

Ludzie sądzą się wzajem powszechnie stronniczo:
Ponieważ złe lub dobre tylko sprawy liczą;
A nadto, w obu razach, jeden fakt lub parę,
Stanowią dostateczną ich wyroków miarę.
Nakoniec nie pytają o czynów pobudki,
Lecz tylko złe lub dobre oceniają skutki.
Ztąd, najcnotliwszy zresztą, dla jakiéjś przywary,
Lub jeźli go zawiodą najlepsze zamiary,
Albo, kiedy go zręcznie jakiś oszust złupi:
Okrzyczany ryczałtem jako zły i głupi!
Przeciwnie łotr wierutny, warty szubienicy,
Byle się raz przyodział w płaszczyk jakiéjś cnoty,
Albo hojną jałmużną zyskał dank hołoty,
Staje się wnet bożyszczem dworów i ulicy!
Niechże jeszcze z trybuny prawi śmiało duby,
Albo o nich w dziennikach lub broszurkach plecie,

Ostatnie powitanie przed śmiercią.

Morituras Te salutat!

Wprawdzie nie jestem ja Gladiatorem,
Ni Ty Cezarem nie jesteś Panie:
Wszelako mówiąc tamtego wzorem,
Takie Ci daję dziś powitanie.
Bo kosa śmierci pewniéj zwycięża,
Kiedy już ręka stara i chora,
Niźli zadany cios od oręża
Gladiatorowi przez Gladiatora.

Powinszowanie na imieniny.

Co rok nawykłem słuchać też same życzenia,
Powtarzane statecznie w dniu mego imienia.
Gdyby te, którem słyszał w pierwszym jeszcze roku,
Były zaraz łaskawe uściły nieba;
Powtarzać je na nowo w następnych lat toku
Byłaby już oddawna ustała potrzeba.
Lecz wtedy gratulanci, zamiast płonnym fantem
Obdarzać mnie, w nadziei na fortunę błogą,

Cieszyliby się raczéj wraz z Solenizantem,
Że mu odtąd już więcéj nic życzyć nie mogą.
Byłaby więc kontenta równie każda strona,
A ja wielbiłbym słusznie mojego Patrona;
Życząc oraz, by wszystkich ludzi córy, syny,
Obchodzili na święty Józef imieniny.
Gniewaliby się wprawdzie na mnie inni Święci,
Widząc, że ich odbiegli dawniejsi klienci:
Gniewaliby się także niemniéj i księgarze,
Że nie mają już kupców na czcze kalendarze;
Ale na tém publiczność zyskałaby cała,
Boby sobie raz tylko na rok winszowała.
Kiedy dziś codzień inny Święty albo Święta,
A czasem i oboje występują w parze.
A ty musisz wartować ciągle kalendarze,
Abyś wykrył klientkę onych lub klienta;
I jeżli ci osoby takiéj firmy znane,
Powtarzał im co roku vota oklepane.
Wreszcie ktoż kiedy pyta swych Solenisantów,
Czyli który wygrał coś z przeszłorocznych fantów?

Do P. N. gratulanta.

Jeżeli chcesz bym jeszcze pożył jakie lata,
To sprawi mi nowe zęby, żołądek i nogi;
I zmieś oraz nędzny stan społecznego świata,
Zduś despotów i zetrzyj dumnym ostre rogi!
Iżby nastał raz pokój za domem i w domu,
Dobrze było każdemu, a krzywdy nikomu,

Bo inaczéj przy takim jaki dziś nieładzie,
Gdzie się człowiek z troskami budzi i spać kładzie,
A do tego bez zębów i z kiepskim żołądkiem,
I z nogami, co już stać ni łazić nie mogą;
Dłuższy żywot byłby li dłuższym biedy wątkiem!
Lecz gdy moje żądania przechodzą twe siły,
Ja zaś czując z każdym dniem większą ich utratę,
Nie potrafiłbym daléj wlec się taką drogą:
Więc dziękując ci za twój upominek miły,
Wolę raczéj porzucić tę dziurawą szatę
I tę scenę łotrowską, która mi obrzydła;
A przyodziać strój nowy — i przypiąwszy skrzydła,
Polecieć wnet na Olymp! gdzie w stałym pokoju
Żyją sobie Bogowie — bez trosków i znoju;
I nie czując, co to śmierć, starość i choroba,
Leżą, siedzą, latają — jak im się podoba.
Piją nektar, ambrozyą żują zamiast chleba,
Na co zębów, ani téż żołądka nie trzeba!
Tam przybywszy pozdrowię Jowisza z Junoną,
Potém zaś po kolei nieśmiertelnych grono,
I zasiądę natychmiast z nimi do biesiady,
I będę jadł, pił, hulał, leżał albo latał,
A nareszcie Boginiom różne figle płatał —
Nota bene — ciągle zdrów bez doktorskiéj rady!
Czasem jednak przylecę i zajrzę na ziemię,
Abym widział, co téż tam robi ludzkie plemię?
Czyli więc idzie naprzód? czyli w tył się cofa?
Czyli może potwierdza zdanie Filozofa:
Który mniema, że człowiek, przy wszelkim mozole,
Jak wół lub koń w deptaku, wciąż się kręci w kole?
Mianowicie chcąc poznać — jak Napoleona
Uiszczą się proroctwo w staréj Europie;

Czyli despotyzm pod batem konstytucyi kona?
Czy też Kozak z nahajką nogami ją kopie?

Do P. Szymona Dutkiewicza.

Profesor, Dziekan, Rektor, Komisarz rządowy
Wszelkich warsztatów, które obrabiają głowy;
Et caetera... a wreszcie Doktor zawołany
Między ubogim ludem i możnymi Pany;
Nienawidzony łotrom, ale dobrym miły:
Lecz wszystko to już niegdyś były, były, były;
Dzisiaj tylko Emeryt, stary Eremita,
I naoczny różnych głupstw i mądrości świadek:
Nim krzyknie wójt: Pójdź Kubo! bo już z tobą kwita!
Radby jeszcze zjeść z Tobą w kompanii obiadek.
Więc, jeźli się podoba
I dogadza zresztą doba,
To skoro wybije druga,
Przyjdzie po Was dobry sługa.

Do tegoż.

Przy takim ranku — Warto mój Panku
Zapomnieć smutku, — I dla zabawki

Napić się kawki — W moim ogródku.
A potém w chłodzie, — Przy dobréj wodzie,
Posmolić fajki, — Posłuchać bajki.
Boć baje stary, — Choć już bezzęby,
Dopóki mary — Nie zamkną gęby.
I wtedy basta! — Wyniosą z miasta
Pod Rakowice; — Zapalą świéce,
Zadzwonią w dzwony, — Ksiądz antifony
Śpiewa z brewiarza, — Kropi i kadzi,
Kondukt prowadzi; — A organista,
Tęgi basista — Za nim powtarza.
A gdy skończyli, — Tak w jednéj chwili
Ciemna chałupa — Połyka trupa.
Lata motyka, — Wali się glina;
Salve Regina — Scenę zamyka.
Potém zaś wszyscy, — Obcy i bliscy,
Starym zwyczajem — Rzucają gródką,
Modlą się krótko, — Ściskają wzajem.
Wreszcie żegnają — I z całą zgrają,
Wozem lub pieszo — Do domu spieszą.
W domu się smucą -- Albo weselą,
Albo téż kłócą, — Gdy spadek dzielą.
Skoro zaś umilkną dzwony
I spadek już podzielony,
I trybunał dział uświęci;
To wnet i bajarz z pamięci
Szczeznie jak ten dymek z fajki;
Wreszcie sam pójdzie na bajki!

Odmowa zaprosin na obiad.

Przepraszam, że nie mogę przyjąć zaprosiny,
A to z prostéj, lecz ważnéj ze wszech miar przyczyny.
Albowiem obliczywszy właśnie treść méj gęby,
Znalazłem, że w niéj tylko jeszcze cztery zęby.
Rozrzucone jak kołki po spróchniałym płocie,
A i te wszystkie prawie codzień na wylocie.
Przy takim inwentarzu nie dałbym se rady,
I nie zrobił zaszczytu dla Pańskiéj biesiady:
Gdyż dając wciąż odprawki lokajom usłużnym,
Siedziałbym jak niemota nad talerzem próżnym;
Poglądając zazdrośnie, jak dzielni rycerze
Odmieniają za każdym półmiskiem talerze.
Byłbym zatém zgorszeniem dla nich i czeladki,
A musiałbym szczodrego gniewać gospodarza,
Niemogących rozwiązać tak dziwnéj zagadki,
Nakoniec zdawałbym się obwiniać kucharza,
Jakoby ten, z powodu w swojéj sztuce braku,
Nie zdołał zaspokoić wymyślnego smaku.
Owóż pragnąc zapobiedz skutkom tak bezecnym,
Wolę raczéj przeprosić i nie być obecnym,
Ufając, iż Pan uznasz słuszność méj odmowy.
Zresztą jestem na wszelkie rozkazy gotowy,
I przepraszając oraz za exkuzę długą,
Zostaję z poważaniem uniżonym sługą.

Moja ostatnia rola i modlitwa.

Zakończywszy mój zawód w **Jagiellońskiej** szkole,
Wyzwolony od zgiełku i spraw tego świata,
Pędzę jak **Eremita** w ustroniu swe lata
I odgrywam ostatnią tego życia **rolę**:
Bez spólników, bez widzów— tylko w **monologu**,
Z obrachunku sumienia zdając sprawę **Bogu**.
Więc długiego żywota przechodząc koleje,
Roztrząsam i oceniam ściśle jego dzieje,
A przytem różnych ludzi na pamięć przywodzę,
Jakich napotykałem po téj krętej drodze:
Przyjaciół, nieprzyjaciół, i tych mnogie roje,
Co to zawsze gotowi dzielić się na dwoje,
Lecz najczęściej myśl tęskna za tymi ulata,
Których serca goręcj niegdyś dla mnie biły,
Ale dziś przywalone ciężarem mogiły,
Głuche na jęki syna, przyjaciela, brata,
Krzyżem tylko wskazują, gdzie szukać pociechy,
Póki sam nie opuszczę téj poziomej strzechy;
I póki **Ten**, co włada śród świata ogromu,
Nie połączy nas znowu w swym ojcowskim domu.
Tu ja **Ciebie** uwielbiam, tu składam Ci dzięki
Za wszystkie dobrodziejstwa i za wszystkie męki,
Jakiemiś mnie obdarzał albo chłostał **Boże**!
Od kolebki po dziś dzień, w każdéj życia porze.
Tobie! iżeś przedłużył dotąd nić żywota,
I utrzymał tak ducha jak ciało przy sile;

Że mnie jeszcze do pracy zagrzewa ochota,
I że nudów nie znają samotne me chwile;
Że tyle i tak różnych bolesnych katuszy,
Nie zdołały wszelako wyziębić méj duszy;
Że jeszcze żar tkliwości w piersiach moich tleje;
Że mnie hoża natura upaja rozkoszą,
A losy nieszczęśliwych oczy moje roszą;
Że dotąd żywię miłość, wiarę i nadzieję.
O zachowaj mi **Ojcze**! te kosztowne dary,
Dopóki nie dosnuję reszty życia wątku,
I dopóki grobowe nie przybędą mary,
By wynieść moje zwłoki z cichego zakątku,
I przenieść do podziemnéj, jeszcze cichszéj chatki,
Na wieczny odpoczynek u stóp drogiéj **matki**!
Wtedy **duch nieśmiertelny** pożegna tę ziemię,
I przystrojon w świetniejsze eteryczne szaty,
Puści się bystrym lotem w niezliczone światy,
Zamieszkałe przez duchów coraz wyższe plemie.
Tam on swoich odszuka i w błogim ich kole,
Zapomniawszy na ziemskie mozoły i bole,
Będzie kosztował szczęścia od wieka do wieka,
Jakiego nie zna oko ni ucho człowieka;
A jakie oczekuje każde **Twoje** dziecię,
Które **Cię** miłowało **Ojcze**! na tym świecie.

Ostatnia rola i modlitwa starego Emeryta.

Zakończywszy mój zawód w **Jagiellońskiej szkole**,
Wyzwolony od zgiełku i spraw tego świata,
Pędzę jak **Eremita** w ustroniu me lata
I odgrywam ostatnią tego życia **rolę**;
Bez spólników, bez widzów— tylko w **monologu**,
Z obrachunku sumienia zdając sprawę **Bogu**.
Więc długiego żywota przechodząc koleje,
Roztrząsam i oceniam ściśle jego dzieje,
A przytém różnych ludzi na pamięć przywodzę,
Jakich napotykałem po téj krętéj drodze:
Przyjaciół, nieprzyjaciół, i tych mnogie roje,
Co to zawsze gotowi dzielić się na dwoje,
Lecz najmiléj myśl tęskna za tymi ulata,
Których serca goręcéj niegdyś dla mnie biły,
Ale dziś przywalone ciężarem mogiły,
Głuche na jęki syna, przyjaciela, brata,
Krzyżem tylko wskazują, gdzie szukać pociechy,
Póki sam nie opuszczę téj pozioméj strzechy;
I póki **Ten**, co włada śród światów ogromu,
Nie połączy nas znowu w swym ojcowskim domu.
Tu ja **Ciebie** uwielbiam, tu składam **Ci** dzięki
Za wszystkie dobrodziejstwa i za wszystkie męki,
Jakiemiś mnie obdarzał albo chłostał **Boże**!
Od kolebki po dziś dzień, w każdéj życia porze.
Tobie! iżeś przedłużył dotąd nić żywota,
I utrzymał tak ducha jak ciało przy sile;

Że mnie jeszcze do pracy zagrzewa ochota,
I że nudów nie znają samotne me chwile;
Że tyle i tak różnych bolesnych katuszy,
Nie zdołały wszelako wyziębić méj duszy;
Że jeszcze żar tkliwości w piersiach moich tleje;
Że mnie hoża natura upaja rozkoszą,
A losy nieszczęśliwych oczy moje roszą;
Że dotąd żywię miłość, wiarę i nadzieję.
O zachowaj mi **Ojcze**! te kosztowne dary,
Dopóki nie dosnuję reszty życia wątku,
I dopóki grobowe nie przybędą mary,
By wynięść moje zwłoki z cichego zakątku,
I przenieść do podziemnéj, jeszcze cichszéj chatki,
Na wieczny odpoczynek u stóp drogiéj **matki**!
Kiedy **duch nieśmiertelny** pożegna tę ziemię,
I przystrojon w świetniejsze eteryczne szaty,
Puści się bystrym lotem w niezliczone światy,
Zamieszkałe przez duchów coraz wyższe plemię.
Tam on swoich odszuka i w błogiém ich kole,
Zapomniawszy na ziemskie mozoły i bole,
Będzie kosztował szczęścia od wieka do wieka,
Jakiego nie zna oko ni ucho człowieka;
A jakie oczekuje każde **Twoje** dziecię,
Które **Cię** miłowało **Ojcze**! na tym świecie.

Przypiski do kilku osób.

Do PP. W. Pola i L. Siemieńskiego, jednobrzmiennie

Józef Brodowicz — staruszek
Składa Panu ten wianuszek:
Spleciony ręką Hipokrata syna,
Lecz zbyt lichego w poezyi Adepty;
Zatém nawykłą pisywać recepty,
Ale nie władać lutnią Apolina.
Tenby go pewnie, jak ongi Marsiasa,
Złupił natychmiast całego ze skóry,
Gdyby żył dotąd na górze Parnasa,
I zakosztował téj ckliwéj mixtury.
Ale Ty Panie zwolnisz go od kary
I nie odepchniesz ubogiéj ofiary.

Do P. Juliusza Florkiewicza.

Tytuł i wieniec obiecują kwiatki;
Lecz ja uprzedzam szanownego Pana,

Że to fałszywe, podstawione świadki,
I że to tylko prosta wiązka siana,
Zebrana częścią w pierwszéj wiosny porze,
Na dzikim, twardym, jałowym ugorze;
Ale najwięcéj z potrawu w jesieni,
Gdy liść pożółknie albo się czerwieni.
Każ nią więc zatkać chyba dziurę w wieży,
Gdzie Twój księgozbiór zachowany leży;
Lub niechaj służy bocianom na kole,
Albo téż wróblom na gniazdo w stodole;
Wreszcie niech pastuch pod bydło pościele
Te liche, suche, pełne chwastu ziele.

Do P. Profesora Kozubowskiego.

Ty mnie częstujesz jabłkami i miodem,
Ja Ciebie wzajem dzikich kwiatów płodem!
Wszak szczepy z dziczków ciągną swe żywioły,
A z polnych kwiatków zbierają miód pszczoły.
Przyjmij je zatém do Twego ogrodu,
Może w nich także znajdą trochę miodu?
Lecz gdyby moje zawiodły domysły,
To ciśnij z chwastem precz do staréj Wisły.

Do P. Profesora Czerwiakowskiego.

Polnych kwiatków postać marna,
Ale za to pełne ziarna;
Ogrodowe hoże, tłuste,
Ale za to w ziarno puste!
Temi się ogrodnik chlubi,
Lecz botanik tamte lubi.
Tuszę sobie zatém śmiele,
Żeć się podoba me ziele?
Gdyby zaś wonią niemiłą
Nozdrza Twoje obraziło,
To każ go z chwastem pospołu
Wrzucić do gnojnego dołu.

Do Pani Hrabiny Alfr. Potockiéj.

Życzeniem było czcigodnéj Hrabiny
Kupić w księgarni te dzikie rośliny,
Które nazrywał jedynie na dary,
Dla swych Przyjaciół wierszokleta stary;
A co on w takim rozmnożył zamiarze,
Tego nie mają na sprzedarz księgarze.
Wszak słysząc o tém życzeniu staruszek,
Składa tu ze czcią swój prosty wianuszek,
Prosząc uprzejmie łaskawą Hrabinę,
Aby raczyła przyjąć tę daninę,

Lecz prosi oraz, racz pobłażać fraszkom,
Wesołéj chwili swawolnym igraszkom:
Bo każdy człowiek, sprzeczny już z natury,
Raz gada mądrze, to znów plecie bzdury;
A nieraz nawet wtedy właśnie baje,
Kiedy najmądrzéj rozprawiać się zdaje.
Zresztą żart letki śmieszy, lecz nie boli,
Jeżeli od złéj nie pochodzi woli.

Do P. Dra Ściborowskiego.

Skoro Ci się podobało
Zostać moim Przyjacielem,
Toć i mnie słuszna się zdało
Obdarzyć Cię mojém zielem:
Bo tylko takiemu drogi
Może być mój dar ubogi.

Do P. Ferdynanda Weigla.

Doznawszy Twéj przyjaźni tak licznych zadatków,
Składam Ci wdzięczném sercem wianek moich kwiatków,
Ale proszę przebaczyć, że się w jego treści
Dużo chwastu, a nawet trochę ostu mieści:

Gdyż nie mając na wybór dość swobodnéj pory,
Zrywałem i splatałem różne dzieci Flory.
Wyrzuć zatém, coćby się obraźliwém zdało,
A zachowaj łaskawie lepszą cząstkę ziela.
Ażeby Ci nawiasem chociaż odświeżało
Pamięć na rzetelnego Twego przyjaciela.

Do P. Julii z Grodzickich Rzewuskiej.

Stary Brodowicz, ukryty w zaciszy,
Skoro zasięgnął pewnéj wiadomości,
Że Pani Julia znów w Krakowie gości,
Spieszy Jéj donieść, że dotychczas dyszy.
A wdzięczny stale za doznane względy,
Przesyła oraz tytułem kolendy
Dwoje swych dziatek, już dawno spłodzone,
Ale z umysłu w skrytości tajone.
Lecz które wreszcie, z przyjaciół namowy
Wypuścił na świat ojciec zbyt surowy;
Wskazawszy jednak szczupłe osób grono,
Jakie zapoznać jest im dozwolono;
Raczże je grzecznie przyjąć na twym dworze
I każ zamieścić w swoim księgozbiorze,
Choćby na półce śród piśmiennych kmieci —
A uradujesz tak ojca jak dzieci.

Do P. Adama Gorczyńskiego.

Zacny Synu zacnéj Matki!
Skoro Ci się podobały
Moje liche polne kwiatki;
Niechże służą w dowód mały
Czułéj na Matkę pamięci
I przyjaznych k' Tobie chęci.
Przebacz tylko, że w ich wianku
Dużo pyżu i rumianku!
Boć to aptekarska Flora
Najmiléj wabi Doktora.

Do P. N.

Jako twarz często u ludzi,
Tak na książkach tytuł łudzi;
Więc i tu nie wierz facyacie,
Dopóki nie zbadasz środka;
A potém orzekaj bracie:
Czy tytuł prawda — czy plotka?

Objaśnienia.

Str. 1. Wszystkie te próbki należą do r. 1810, a 20 mojego życia. Nie znałem wtedy z literatury polskiéj oprócz bajek Krasickiego i trochę poezyi Karpińskiego.

Str. 3 i 4. Oba moi spółucznie od małych szkół począwszy.

Str. 5. Młody leśniczy ale zabiegły gospodarz, dorobił się istotnie znacznego majątku i sprawdził moją gratulacyę.

Str. 8. Dr. Herberski z Wilna 1818 r. do Wiednia przybył a z tamtąd w dalszą podróż udał się. Wróciwszy do domu zajął katedrę kliniczną po Józefie Franku w r. 1823, lecz w krótce umarł.

Str. 9. Przepauzowawszy 30 lat, i w r. 1850 ustąpiwszy z katedry, sklēciłem ten program dla siebie, który odtąd ciągle egzekwowałem i sprawdzałem.

Str. 16. Wildbad Gastein — Cieplica w Salzburgskich Alpach, wysoko położona, gdzie także kopią złoto. Woda jéj do 38°R. gorąca, lēdwie jakieś pierwiastki chemiczne zawiera. Lekarze tamtejsi przesadzając jéj dzielność, ograniczają skrupułatnie każdą kąpiel do kilkunastu minut, a

całą kuracyą do 21 dni. Szczupła ilość mieszkań i łazienek, nie wystarczających na jednoczesne pomieszczenie dużéj liczby gości, nie mały ma udział w tych restrykcyach. Atmosfera i wegetacya alpejska wspierają szczególnie dzielność téj thermy.

Str. 21 Z tą pieśnią wyprawiłem w świat mojego stryjecznego wnuka Wład. B. który się przy mnie chował.

Str. 22. Zabawna ta kuracya stołka wydarzyła się w ogólnym szpitalu wiedeńskim.

Str. 28. Był to niegdyś zamek bardzo warowny, do pp. Kińskich należący; którzy atoli mieszczanom Teplickim bardzo dokuczali. Jeden z nich, szwagier Wallensteina, wplątany w rokosz tego wodza, zabity został wraz z nim zdradziecko w Egrze. Poczém Ces. Ferdynand skonfiskował jego majątek a zamek minami kazał rozsadzić. Ogromna ruina ma jakieś podobieństwo do ruiny Tenczyna. W pozostałych kazamatach mieszka od wielu lat gospodarz miejscowy, którego tu wiernie opisałem.

Str. 40. Dama ta udała się do Teplic za moją radą; gdzie wyjechawszy konno na spacer, od spłoszonego rumaka angielskiego rozniesioną została. Hr. Choa. piękny wystawił jéj pomnik na tamecznym cmętarzu.

Str. 41. Tamże wykryłem grób tego niemieckiego literata, który zmuszony służyć wojskowo Anglikom i Prusakom, w końcu był sekretarzem generała Igielstroma, i jako taki obecnym przy powstaniu Warszawy i rzezi na Pradze. Umarł 1810 r., zwiedziwszy pieszo całą prawie Europę.

Str. 41. Tak nazywa się jedna z pobliskich wyżyn. Ob. str. 104.

Str. 42. Jest to lekarz od pół wieku w Teofipolu zamieszkały, synowiec mojego niegdyś prof. K. F. Hartmanna.

Str. 43. Szczególny ten obrazek, na kamieniu malowany, znajduje się w Sielcu, wsi do OO. Karmelitów na Czerny należący. Poznałem ten antyk, nawiedziwszy zacnego Przeora ś. p. Jks. **Klugera**.

Str. 49. Przypisek do dzieł Schillera, danych na pamiątkę drugiemu mojemu stryjecznemu wnukowi, kiedym go w świat wyprawiał. Atoli nie długo cieszył on się têm darem, bo już w r. 1862 umarł ten młodzieniec, pełen najpiękniejszych talentów ducha i serca. Ob. str. 53. 54. 55.

Str. 55. W rok po tamtym zgasł nagle w moich rękach, i do tego w dzień moich urodzin, mój domownik i nierozdzielny przyjaciel przez lat 40 z górą L. K. „Altera pars animae me.“

Str. 56. Znany Warszawie i całéj Polsce artysta, od r. 1819 do śmierci stateczny przyjaciel. Zmarł także nagle, zajęty drzeworytem!

Str. 61. Do trzech dusz, odpowiednich trzem kunsztom, w jakich ten mistrz celował, dodano mu jeszcze czwartą **poetyczną**.

Str. 62. Tłomaczona z tłomaczenia niemieckiego.

Str. 63. Powód do tego dał „nowy komeniusz“ w Wiedniu 1861 anonime wydany; w którym obrazek lekarza w najczarniejszych kolorach skreślony znajduje się.

Str. 93. Cała moja galeryjka składa się z samych pamiątek.

Str. 95. Buk ten już bardzo zniszczony stał przy ścieżce do „szwajcarskiego domu“ a resztki kory onegò były pokryte licznemi cyframi. Owóż wypoczywając na ławce, naprzeciw tego starca będącéj, przemawiałem do niegò w ten sposób, naturalnie po niemiecku, jako do niemieckiego drzewa.

Str. 104. Książe de Ligne, feldmarszałek austryacki, usunąwszy się wcześnie od życia publicznego, żył długie

lata na ustroniu, mianowicie w **Nussdorf**, wsi położonéj nad Dunajem tuż pod górą św. Leopolda, przy Wiedniu. W ruinie na téj górze kazał sobie parę pokoi wyporządzić i tam lubił często przebywać i dumać; a niektóre swoje pomysły zrymowawszy i na czarnych drewnianych tablicach zapisawszy, takowe tu i ówdzie porozwieszał. Te sobie odpisałem i szczęśliwie dotąd zachowałem, gdyż owe tablice już dawno znikły. Do tych należy wiersz na cześć Sobieskiego tu zamieszczony, i drugi następujący:

Loin des grandeurs et du bruit de la ville,
De tout genre de passion,
Surtout de folle ambition,
Goutez ici le bonheur pur et tranquil,
Oubliant tout excepté les charmans souvenirs
Du bien que l'on a fait et des innocens plaisirs.
Et c'est ici qu'au sein du la philosophie,
Sans crainte, sans remords, et les moindres desirs,
On peut paser et bien finir sa vie.

który cechuje dobitnie ducha tego księcia, znanego z zacnego charakteru i jędrnego dowcipu, którém nie raz chłostał dumę zubożałéj arystokracyi i polityczne wypadki. W czasie zajęcia Wiednia przez Francuzów, zmuszony rozkazem komenderującego wydalić się **po za linie**, (tak nazywa się mur, miasto i przedmieścia okalający), żegnał swoich znajomych biletami z napisem: Le prince hors de Ligne. Umarł podczas **kongresu**, o którym powiedział: „Le congrés danse, mais il ne va pas“ i cieszył się, że do widowisk, jakie bawiły wtedy ówczesnych ojców ludów, przybędzie jeszcze widowisko „pogrzebu feldmarszałka!“

Str. 105. Bignon poseł francuzki w Warszawie za księstwa.

Str. 107. Prezydent stowarzyszenia „duchomowców“.

Y

Str. 108. Haller, jeden z najuczeńszych lekarzy, fizyologów i botaników zeszłego wieku, a przytém piękny filozoficzny poeta.

Str. 109. **Joung** autor „nocy", **Nicolas** „studiów filozoficznych o Chrystyjanizmie"; **Rückert** poeta niemiecki z ostatnich czasów.

Str. 110. Wessenberg Henryk, wychowaniec prymasa niemieckiego Dalberga i jego wikary na biskupstwie w **Konstancyi**, jeden z najgruntowniejszych teologów i najzacniejszych kapłanów. Wydał dużo bardzo cennych dzieł, a między tymi ostatnie pod tytułem: „Gott und Welt", tudzież 8 tomów ślicznych poezyi.

Str. 114. Czcigodny człowiek pod każdym względem, w latach 1848/9 minister finansów, umarł nagle na przechadzce.

Str. 115. Przypisek do widoków przez ś. p. znanego artystę Głowackiego rysowanych.

Str. 116. Dziwić się trzeba, że to urocze siedlisko, mało jest nawidzane.

Str. 128. Fakt rzeczywisty.

Str. 136. Obacz str. 16.

Str. 137. Zacny kolega i stary mój przyjaciel, mieszkał nad apteką, ale nie wierzył w lekarstwa. Tem więcéj palił cygar.

Str. 138. W kościele OO. Bernardynów znajduje się „Taniec śmierci" może przed 200 laty przez zakonnika **Lekszyckiego** malowany. Brakuje w nim doktora i aptekarza, jakich znajdziesz we wszystkich tego rodzaju obrazach. Bydź może, że malarz bał się doktora; a był w przyjaźni z aptekarzem? Jakkolwiek bądź, Pan prof. Wojnaroski skompletował bardzo wybornie ten brak na moją prośbę, a ja dorobiłem podpis w guście podpisów tam zamieszczonych.

30

TREŚĆ.

Mieliśmy świeżo w ręku nowy zbiór poezyj, a raczéj nową wiązkę „kwiatów polnych“, bo tak je sędziwy tytułuje autor. Tytuł odpowiada treści, nie odznaczają się bowiem te kwiatki, ani barwą zbyt jaskrawą, ani kształtem nie przypominają tych gatunków, które w ogrodzie poezyi naszéj schodzą jeszcze niekiedy z ziarna, co pozostało z posiewu dawniejszego. „Kwiatki polne“ natomiast, mają tę słodką woń łanów naszych i tę prostotę, która może nie wszystkim odpowiada wymaganiom sztuki, ale ma tchnienie natury. Lecz rzecz dziwna: nie zbierał ich młody marzyciel wśród pól i łąk, ale na bruku miejskim sędziwy weteran nauki, nestor naszych lekarzy, który po długiéj służbie dla miasta, uniwersytetu i cierpiącéj części społeczeństwa, zaszczytnego używa wypoczynku wśród swoich. Któż z Krakowian nie odgadnie białego staruszka, który dochował jakby na stwierdzenie nauki, jakiéj się poświęcał, a na świadectwo pięknie przebytego żywota, czerstwość ciała i młodość duszy, że jeszcze dosiada lekko Pegaza.

Niezwykła to jazda dla synów Eskulapa młodszéj zwłaszcza szkoły, która tonie w materyalizmie; rzadki zaś fenomen weny poetyckiéj, gdy już ośm na karku zacięży krzyżyków. A jednak starość jak jesień pokrywa się niekiedy wiośnianém kwieciem, gdy jéj liście nie zżółkną pod wpływem ostatnich człowieka namiętności, które trzymają się najdłużéj.

Sędziwy poeta wprawdzie przyznaje się do ostatniego złudzenia:

Zmędrzały starzec mniema, iż własnemi siły
Pokonał złe nałogi, które go więziły,
Alеć to samolubnéj złudy przesąd błogi:
Bo gdy już zwiędłe ciało do upadku dąży
I krew jego ostygła coraz wolniéj krąży,
Nie on rzuca, lecz jego rzucają nałogi.

Zaprzeczyć winniśmy tym słowom, bo są nałogi i namiętności, które i zwiędłego trzymają się ciała i potęgują się aż do grobowéj deski. Czasem miłość własna budzi się spóźniona i miota wewnętrznym niepokojem słabnącego ducha. Obok skromnych kwiatków polnych połóżmy legendę wieków Wiktora Hugo, lub jego napuszyste wiersze do wnuków, a przekonamy się, że i wiek sędziwy ma swoje szały, trawiące gorączki i miotanie się namiętne pychy, która niczém nasycić się niemoże, bo nie ma przystani

wiary. Nic bardziéj odrażającego, nad podobną grudniowa burzę ducha — nic piękniejszego nad spokój dobrze zasłużonego starca, który spłaciwszy dług życia, spogląda pogodnie na świat zachowując całą siłę umysłu. Jakże często w starości dochodzi się dopiero do zupełnéj prawdy, którą się omijało wśród walk czynnego jeszcze życia, lecz zdobycz ta spóźniona niezawsze zdoła wynagrodzić obłędy dawniejsze. Jeżli w wieczności zmartwychstaną nasze ciała w pełni swego rozwoju, a więc w młodzieńczych kształtach, to duch co nie umiera, przejdzie w drugie życie takim, jakim był u kresu ziemskiéj wędrówki.

Lecz do tajemnic nieśmiertelności doprowadziły nas wdzięczne i wonne kwiatki polne, a chcieliśmy tylko wspomnieć, że poeta zaczyna je od obrazu jednego z przedmieść krakowskich. Z domku na Wesołéj za wzrokiem goni myślą i przechodzi kolejno cierpienia ludzkości, gdy spogląda na okalające go szpitale; sąsiedni Teatr letni nasuwa mu spostrzeżenia o komedyi świata; Ogród Strzelecki daje mu temat do kalejdoskopu przesuwającéj się publiczności; patrząc na klasztory wznosi się do tajemnic wiary, a wreszcie pochody ciągnących pogrzebów budzą tęsknotę do ostatniego odpoczynku.

Odbicie z Nru 169 „Czasu“ z dnia 28 Lipca 1877 r.

Dzień dobry — Nie każ odbijać
na czysto, dopóki mi nie przy-
szlesz pierwszej korekty.

B

Charakter.

Myśli, czucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonéj z różnéj człeka każdego przyrody;
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życia swojego rozmaitéj porze.
Najwięcéj go odmienia sam zawód społeczny,
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Ztąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym człeku
Jeszcze rzadziéj tenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

Do Pana Władysława Klugera, Profesora przy uniwersytecie Peruańskim w Limie. Przy odesłaniu mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawi przed oczyma
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyma;
Tudzież Żony, jak równie Jéj Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytém życzę ażeby w Peruańskiéj Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda,
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda;
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodyczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

D. 25 Kwietnia 1878 r. w Krakowie.

Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem obdarzony
Zamieszkał martwy wokoło świat cały —
Wmarzałbym duszę w twarde zimne skały
Tuląc do piersi tęschnemi ramiony.

We czcze powietrza ziewałbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Mniemałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Schillera.

35

37

Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojém towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą
Do mojego mieszkania; innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniéj domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłéj chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszéj zabawy;
Ale skoro naglejszéj zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić, lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiejkolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

45.

Spacer po cmentarzu.

Kiedy chodząc wśród cmentarza
Przy jakimbądź staniesz grobie —
Czy to pański czy ubogi —
Każdy ci zmarły powtarza:
Co mnie dzisiaj jutro tobie.
Nie waż lekce téj przestrogi,
Bo umarły prawdę gada,
Tylko w ustach żywych zdrada.
Czyś ty więc młody lub stary,
To śmierć bez względu na lata
Wybiera swoje ofiary
I nakoniec wszystkich zmiata.

Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojem towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie.
Z tych zaś którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą
Do mojego mieszkania: innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniéj domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłéj chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszéj zabawy;
Ale skoro naglejszéj zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić — lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiejkolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

Spacer po cmentarzu.

Kiedy chodząc wśród cmentarza
Przy jakimbądź staniesz grobie —
Czy to pański czy ubogi —
Każdy ci zmarły powtarza:
Co mnie dzisiaj jutro tobie.
Nie waż lekce téj przestrogi,
Bo umarły prawdę gada,
Tylko w ustach żywych zdrada.
Czyś ty więc młody lub stary,
To śmierć bez względu na lata
Wybiera swoje ofiary
I nakoniec wszystkich zmiata.

Spacer po cmentarzu.

Kiedy chodząc wśród cmentarza
Przy jakimbądź staniesz grobie —
Czy to pański, czy ubogi,
Każdy Ci zmarły powtarza:
Co mnie dzisiaj, jutro tobie.
Nie waż lekce téj przestrogi,
Bo umarły prawdę gada,
Tylko w ustach żywych zdrada.
Czyś ty więc młody, lub stary,
To śmierć bez względu na lata
Wybiera swoje ofiary
I nakoniec wszystkich zmiata.

Do Pana Władysława Klugera,
Profesora przy uniwersytecie Peruańskim w Limie.
Przy odesłaniu mu fotografii.

Niechaj Ci ten obrazek stawi przed oczyma,
Przyjaciela Twojego, Matki i Ojczyma;
Tudzież Żony, jak równie Jéj Ojca i Matki,
Którzy Cię zaliczyli między swoje dziatki.
Przytém życzę, ażeby w Peruańskiéj Limie
Twoje plemię zaszczytne zostawiło imię;
A gdy do rodzinnego powrócicie gniazda
Niech wam stale i długo szczęścia świeci gwiazda
Wreszcie sytych ziemskiego żywota słodyczy
Niech Bóg do swoich dzieci w Niebiesiech zaliczy.

D. 25 Kwietnia 1878 r. w Krakowie.

M. J. Brodowicz.

Dziś a niegdyś.

Niegdyś zbyt nawiedzany od znajomych tłumu,
Korzystających z mego mienia lub rozumu;
Dziś żyję niby stary w puszczy eremita,
Kędy chyba zbłąkany wędrowiec zawita:
Albowiem ci, którzy mię rzeczywiście czcili
I w mojém towarzystwie smakowali sobie,
Więc i mnie towarzysze czcigodni i mili,
Wszyscy prawie już dawno spoczywają w grobie;
Z tych zaś, którzy tu jeszcze na téj ziemi goszczą,
Jedni się o starego zupełnie nie troszczą,
Drudzy się wybierają, lecz wybrać nie mogą,
Inni znowu daleką ekskuzują drogą

Do mojego mieszkania. Innym mnogie sprawy
Urzędowe jak niemniéj domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągléj chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszéj zabawy;
Ale skoro naglejszéj zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić, lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa,
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiejkolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza:
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem obdarzony
Zamieszkał martwy w około świat cały —
Wmawiałbym duszę w twarde zimne skały
Tuląc do piersi chciwemi ramiony.

We czcze powietrza ziewałbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Myślałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Szillera.

Znikomość.

Mienią się czasy, mienią się umysły,
A tych, co wczoraj jeszcze węzeł ścisły
Wiecznéj zdało się połączał przyjaźni,
Już dziś zwolniony ten węzeł ich drażni.

Nic nie jest stałem pod okręgiem słońca!
Co ma początek, wszystko czeka końca;
Nawet niewinne budowle twéj duszy
Prędzéj lub późniéj ząb czasu pokruszy.

Boże, i na cóż ducha mego dary,
Jeżeli wszystko płód znikoméj mary?
Nie mrucz, ozwał się mój duch silnym głosem:
Jam nieśmiertelny, wieczność moim losem.

Komu szlachetne czucie piersi wzdyma,
Ten wewnątrz siebie nosi utwór świata,
Gdzie żadnéj burzy zgroza miejsca nie ma.

Mathisson.

Gdybym sam jeden duszą obdarzony
Zamieszkał martwy wokoło świat cały,
Natchnąłbym marząc czuciem nawet skały;
A tem marzeniem zbytnie rozegrzany
Uściskałbym je mojemi ramiony
I ucałował zimne owych ściany
W głuche ~~potrze~~ powietrze słałbym głośne jęki,
A słysząc, że je t czcze powtarza echo
Marzyłbym znowu iż na moje męki
Zgłasza się jakieś współczucie z pociechą

Do mojego mieszkania. Innym mnogie sprawy
Urzędowe, jak niemniéj domowe kłopoty
Wzbraniają mimo ciągłéj chęci i tęsknoty
Kosztować z przyjacielem najmilszéj zabawy.
Ale skoro naglejszéj zaradzą potrzebie,
Obiecują nawiedzić; lub gdyby surowa
Atropa nie dała się uiścić ze słowa
To będą niezawodnie na moim pogrzebie.
Ja zaś wszystkich uwalniam od niedbalstwa winy,
Z jakiéjkolwiek takowe pochodzi przyczyny;
A ostatnich upraszam, niechaj się nie trudzą
Z wizytą do żywego, ani do cmentarza,
Gdy tam będą zmarłego grzebać bakałarza,
Bo przy zdrowym i zmarłym zarówno się znudzą.

Tęsknota.

Gdybym sam jeden czuciem obdarzony
Był rzucon w pośród utwór świata cały —
Marzyłbym żywot w otrętwiałe skały,
Tuląc je czule chciwemi ramiony.

We czcze powietrza ziewałbym me jęki,
A słysząc, że je powtarzają echa,
Myślałbym, że to słodka jest pociecha,
Którą współczucie śle na moje męki.

Z Szillera: Prosaische Schriften Ih. 1. Seit. 306.

Znikomość.

Mienią się czasy, mienią się umysły,
A tych, co wczoraj jeszcze węzeł ścisły
Wiecznéj zdało się połączał przyjaźni,
Już dziś zwolniony ten węzeł ich drażni.

Nic nie jest stałem pod okręgiem słońca!
Co ma początek, wszystko czeka końca —
Nawet niewinne budowle twéj duszy
Prędzéj lub późniéj ząb czasu pokruszy.

Boże! i na cóż ducha mego dary,
Jeżeli wszystko płód znikoméj mary?
Nie mrucz śmiertelny! — rzekł ktoś silnym głosem —
Cnota człowieka nie jest zmienną losem.

Komu szlachetne czucie piersi wzdyma,
Ten wewnątrz siebie nosi utwór świata,
Gdzie żadnéj burzy zgroza miejsca nie ma.

Mathisson

Charakter.

Myśli, czucia, chęci, czyny — są to cechy cztery,
Z jakich się układają ludzkie charaktery:
Różne według zgodności onych lub niezgody,
Zrodzonéj z różnéj człeka każdego przyrody.
Tudzież różnych stosunków, jakich doznać może
Tenże w życia rozmaitéj porze.
Najwięcéj go odmienia sam zawód społeczny;
Tak jak siła żywotna ciało w każdym wieku:
Stąd rzadko twarz młodzieńca poznasz w starym człeku
Jeszcze rzadziéj jenże sam charakter stateczny;
A nieraz czas oboje tak dalece zmienia,
Że przy śmierci poznasz go już tylko z imienia.

GIEŁDA.

Nowy rodzaj handlarstwa wszędzie się dziś iści:
Towar został pieniądzem, kupcami giełdziści;
A jako zwykły towar kramarze fałszują,
Tak na giełdach meklery akcyami szachrują.
Codzień zatem bankructwa, codzień nowe banki,
Codzień draby z bogaczów, codzień z drabów panki,
Niechże jeszcze czas jakiś dziki szał bankowy
Zawraca równie głupim, jak rozumnym głowy,
To cała Europa takim jadem struta,
Wkrótce na olbrzymiego wyrośnie bankruta,
A stosy kolosalne akcyjnych papierów,
Będą piece ogrzewać ubogich bankierów,
Lub służyć na zapałki dla wściekłej komuny,
Iżby mogła rabować śród pożarów łuny.

Z Pieniądz został towarem

DROGA DO SZCZĘŚCIA.

Jeźli chcesz być szczęśliwym i mieć pokój duszy,
To niechże chciwość złota głowy twéj nie suszy,
Ani piersi zazdrosna nie rozpiera pycha,
Która tylko czczym dymem zaszczytów oddycha.
Nie troszcz się, co na ziemi robią wielkie pany;
Ty siedź cicho w ustroniu mało komu znany.
Dość, jeźli poczet szczerych przyjaciół malutki
Podziela twoje losy, pociechy i smutki;
Jeźli sąsiad o tobie nie rozsiewa plotek,
Możny cię nie znieważa, a poważa kmiotek,
Ażebyś miał to, czego każdemu potrzeba:
Odzież, ciepłą komórkę i kawałek chleba,

Więc nie doznał ubóstwa, ni pogardy męki,
Żebrząc lichéj jałmużny z miłosiernéj ręki,
Lecz z poczuciem swobody i własnéj godności,
Mógł śmiało spojrzéć w oczy króla Jegomości:
To pracuj wciąż ochoczo w obranym zawodzie,
Nie trwoń sił nadaremnie, bój się czasu straty,
A nie braknie ci nigdy na słusznéj nagrodzie,
Bo poczciwy robotnik wart swojéj zapłaty.
Poczém używaj miernie twojego dobytku,
Chroniąc się równie skąpstwa, jak marnego zbytku,
A cokolwiek oszczędzisz na własnéj potrzebie,
Rozdaj zaraz pomiędzy uboższych od ciebie.
Nie rób więc, jak ów głupiec, który pracowicie
Wśród kłopotów i trosków spędza całe życie,
Aby umarł bogaczem i był chowan szumnie
W murowanym grobowcu i złoconéj trumnie,
I żeby spadkobierca bogatéj szkatuły,
Okazałym pomnikiem głosił potomności
Jego imię, nazwisko, herb i czcze tytuły,
Tudzież miejsce, gdzie robak toczy pańskie kości,
Póki czas, który wszystko gryzie i połyka,
Nie pożre wreszcie także głośnego pomnika;
Ty skończ na tem ostatnie żywota mozoły,
Byś umierał bez długów, chociaż zresztą goły,

I w drewnianéj trumience spoczął w ziemnym grobie,
A trwały żal znajomym zostawił po sobie.

Atoli nadewszystko czcij i miłuj Boga,
Kochaj bliźnich, a nawet znoś miłośnie wroga,
Gdyż Bóg, źródło miłości i Bóg Ojciec świata
Natchnął także jéj duchem wszystkie swoje twory;
Miłością Go aniołów uwielbiają chóry,
Ona ich między sobą, z nimi ludzi brata.
Miłość więzi kochanków w urocze kajdany,
Biedny ten, kto nie kocha i nie jest kochany,
A najbiedniejszym z biednych zwać trzeba zaiste
Rozkochanego w sobie samym egoistę.
Miłości głosem wzajem wabią się zwierzęta —
Ona nieme rośliny w swoje sidła pęta,
A nawet jakiś pociąg tajemniczy, miły,
Skupia luźne pierwiastki w różnokształtne bryły.
Zgoła, pozbaw stworzenie téj miłosnéj duszy,
A świat cały zaraz się w atomy rozprószy.

M. J. B.

d. 27 Czerwca 1874 roku.

42

WALKA DUCHA Z CIAŁEM.

Duch i ciało w ciągłéj wojnie
Od kolebki aż do grobu:
Bo sprzeczna natura obu
Nie daje im żyć spokojnie;
Tylko że znikome ciało
Zmienia z laty swą przyrodę,
Mocne, ruchliwe, gdy młode;
Słabe, gdy się postarzało;
Kiedy nasz duch nieśmiertelny,
Nie zna téj odwrotnéj miary,
Lecz z każdym dniem więcéj dzielny,
Najdzielniejszy, gdy już stary.
Ztąd naturalnie wynika,
Że młode ciało wciąż bryka,

A silne jego wybryki
Łamią często ducha szyki;
Kiedy w sędziwéj starości,
Gdzie duch najpotężniéj działa,
Krępuje go niemoc ciała,
W którém aż do śmierci gości.
Wtedy bierze go tęsknota —
Radby wnet przebyć jéj wrota,
Zagrzebać ciało pod glebą,
A sam raźnie lecieć w niebo;
Bo żywi pewną nadzieję,
Iż w miejsce podartéj szaty,
Któréj już nie starczą łaty,
Nową go Bóg przyodzieje,
I połączy wiecznie z temi,
Których pokochał na ziemi.

W lipcu 1874 r.

NA OBECNE OBÓWIE.

Hałaśliwe zaiste są obecne czasy:
Gęby wrzeszczą a u nóg stukają obcasy,
Na których, jako niegdyś w scenicznym koturnie,
Mężczyzni i kobiety postępują górnie;
Damy z parasolkami, które zamiast lasek,
Stawiają i podnoszą za taktem obcasek,
Ztąd łoskot, jaki w marszu wydają żołnierze,
Albo koń, byk, lub inne kopytkowe zwierze,
Kiedy pędzi gościńcem, albo też na błoni
Rozbryka się i cwałem jedno drugie goni.

Rok 1874.

DO KOBIET NOWOMODNIE STROJNYCH.

Dawniéj kwiatki i wstążki, fontazie i szlarki,
Stroiły wasze białe piersi, szyje, karki;
Dzisiaj się te ozdoby przeniosły na z..ki,
Wszelako brakują tam dotąd wonne kwiatki;
Natkajcież ich co wlezie, choćby całe snopy,
Jeźli chcecie, ażeby zalotni młokosy
Zwabieni takim strojem szli za wami w tropy,
Inaczéj będą stronić — zatykając nosy,
Aby ich nie raziły ciemne fajerwerki,
Które idąc puszczają nadęte kuperki.

Rok 1874.

DO

ŁASKAWYCH GRATULANTÓW

NA JMIENINY W ROKU 1875,

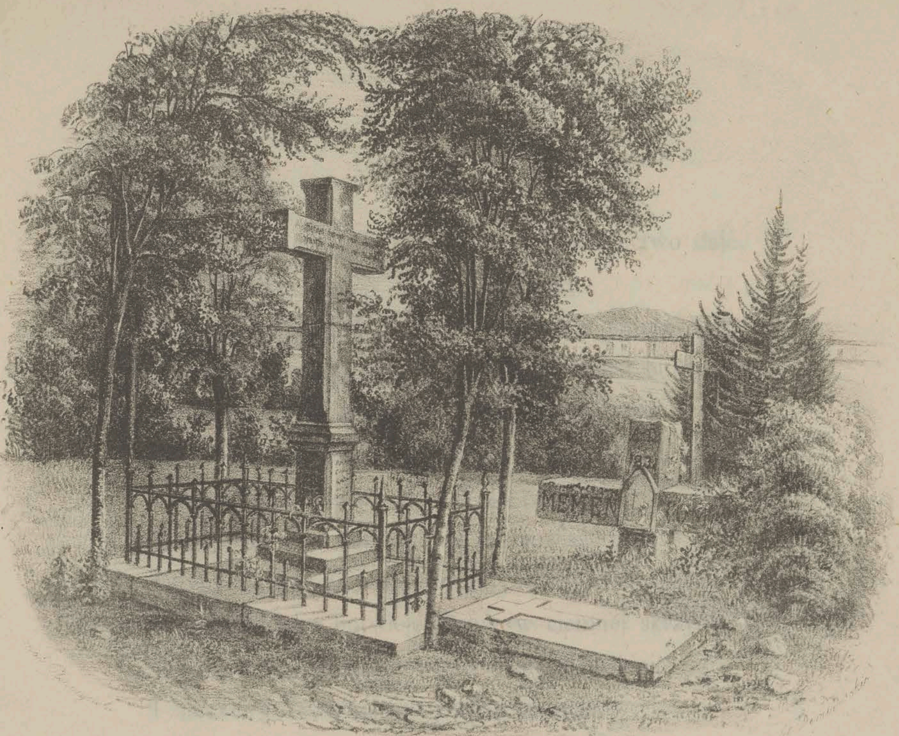
a mojego życia 86.

Aby się mogły spełnić Twe wota serdeczne,
Musiałbyś mnie przemienić cudownym urokiem:
Tak, iżbym dzisiaj zaraz począł życie wsteczne,
To jest: stawał się młodszym z każdym nowym rokiem.
Lecz starzec bliski kresu żywotnéj kolei,
Który widzi rozwarte już do grobu wrota,
Nie śmié ufać powabnym ułudom nadziei;
By się jeszcze spełniły na nim Twoje wota.
Życz mu więc, co się może iścić w takiéj dobie,
I czego sam jedynie tylko życzy sobie,
Upatrując w tém właśnie najcenniejsze dary,
O jakie Boga prosić powinien człek stary:
    Niech mu śmiertelne łoże ducha nie zamroczy;
    Niech z wiarą i nadzieją spełnia wyrok Boży;
    Niechaj po krótkiéj walce śmierć ciało umorzy,
    A miłościwa ręka zawrze jego oczy.
Ty zaś w zamian składanych żyjącemu wotów,
Winszuj nieboszczykowi, że się zbył kłopotów
Swojéj ziemskiéj pielgrzymki, trwającéj zbyt długo;
A przytém racz go uczcić ostatnią przysługą:
Więc odprowadź na Smętarz i pożegnaj mile,
I westchnij raz do roku przy jego mogile.
Lub gdyby Cię trudziło takowe Memento,
To chciéj go se przypomnić w Józefowe święto.

Dr. Józef Brodowicz.

W Krakowie dnia 19 Marca 1875 r.

46



w Lit. Inst. Tech. Krwk.

Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Szanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.

Do

HILAREGO HANKIEWICZA

~~*czcigodnego*~~ *Sekretarza U. J.* ~~*i rzetelnego przyjaciela*~~

~~POŻEGNANIE~~

PRZY ZŁOŻENIU MOICH DOKUMENTÓW W ARCHIWUM AKAD.

Niech Cię ten obraz bynajmniéj nie smuci;
Łabędź przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniéj, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

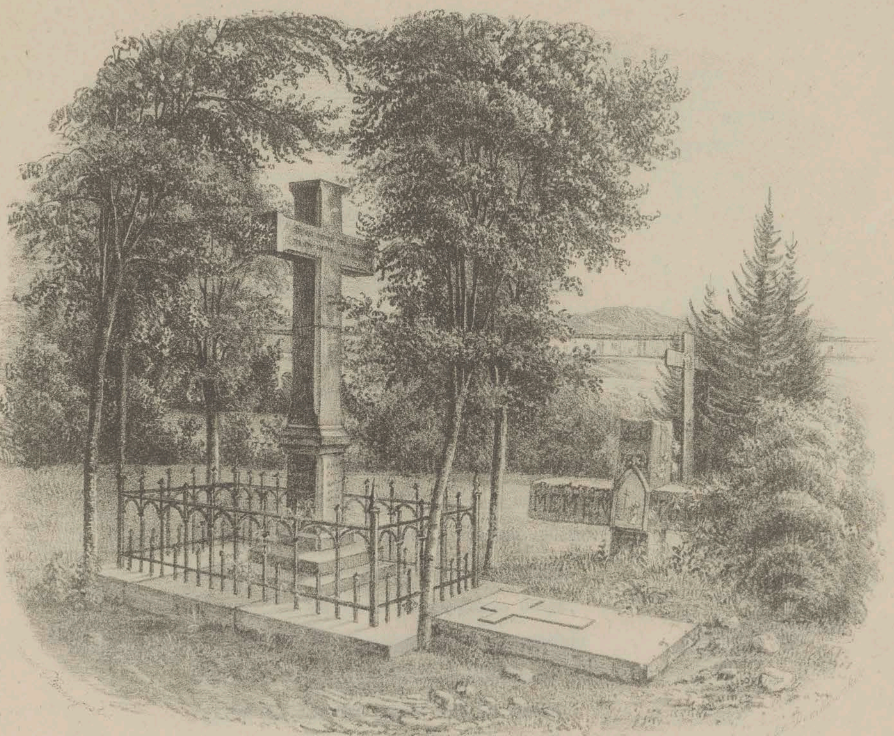
Długo żyłem i różne odgrywałem role
W współczesnych komedyantów rozmaitém kole.
Nie do mnie sądzić, jakim każdy z nich był graczem,
Ani oceniać widzów o moich grach zdania:
Mnie surowy rachunek zmusza do wyznania,
Żem w oczach Pana sceny był wszędzie partaczem;
Że zatem mimo długie w służbie Jego lata,
Żadna lub bardzo licha czeka mię zapłata;
Chyba, że Pan uwzględnić raczy szczerą wolę,
Z jaką sobie zadane odgrywałem role.
Składam tutaj wszelako zbiór aktów dość liczny,
Który wiernie przedstawia mój żywot publiczny;
Ale sobie bynajmniéj pretensyi nie rości,
Jakoby wielkiéj była treść jego wartości.
Jestto plon z różnéj gleby i różnego ziarna,
Które skrzętnie zbierała praca nieraz marna;
A którego zwątlone długim wiekiem siły,
Oczyścić z mnogiéj plewy już nie dozwoliły.

Składam go głównie w celu, niech świadectwo daje,
Jakie miałem zasady, chęci, obyczaje;
Tudzież o moich losach w téj szkolnéj podróży,
Odbywanej wciąż prawie wśród społecznéj burzy,
W kraju nibyto wolnym i niewolnym razem:
Albowiem republika niepodległą zwana,
Ulegała trzem wolom trojakiego pana,
Dopóki nie przestała żyć za ich rozkazem.
Gdyby zresztą nie zdał się na nic Głównéj szkole,
To niech cicho butwieje skryty w ciemnéj skrzyni,
Jak zwierz przedpotopowy w skalistéj jaskini,
I niechaj go swobodnie spożywają mole.
Ja zaś na tem skończywszy urzędowe sprawy,
Oczekuję już odtąd co chwila z tęsknotą,
Kiedy nitkę zbyt długą skróci Parka Klotho,
A stary Charon ducha wpuści do swéj nawy,
By go przez Styks przeprawił do lepszéj gospody.
Tam on zaraz wychyli dzban Lethejskiéj wody,
I wypłucze z pamięci wszystko co się działo,
Jak długo zamieszkiwał zmarłe swoje ciało.
Poczem niby odrodzon i w nowéj odzieży,
Rozpocznie życia swego dramatu akt świeży,
I odegra na nowéj scenie taką rolę,
Do jakiéj się uzdatnił na ziemskim padole:
Gdyż w porządku natury nie uchodzą skoki,
Gdzie stanął, odtąd zacznie stawiać dalsze kroki.
Skoro zaś już zakończy i ten akt powtórny,
To będzie musiał znowu zaciągać koturny,
I wędrując, chociażby przez wieków Aeony,
Zmieniać wciąż role, sceny i zużyte szaty,
Dopóki nie zdobędzie mistrzowskiéj korony,
Strojnéj w prawdy, dobroci i piękności kwiaty.

I wtedyto dopiero duch człeczy podoła
Przywdziać strój i grać rolę bożego anioła.
Żegnam Cię więc tymczasem zacny przyjacielu,
Zanim się obaczymy u świetnego celu.
Tam odnowimy przyjaźń, która nas związała,
Kiedy jeszcze gliniane dźwigaliśmy ciała.
Boć duch siły miłosnéj wraz z gliną nie grzebie,
Ona włada zarówno na ziemi i w niebie:
A jako tutaj ludzi między sobą brata,
Tak tam wiąże anioły z woli Ojca świata;
Który go stworzył tylko z miłości natchnienia,
I w niéj otwarł zdrój szczęścia dla swego stworzenia.

Dr. M. J. Brodowicz.

Kraków dnia 14 Czerwca 1875 r.



w Lit. Inst. Tech. Krak.

Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Szanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.

Do

FRYDERYKA SKOBLA

Profesora Uniw. Jagiell.

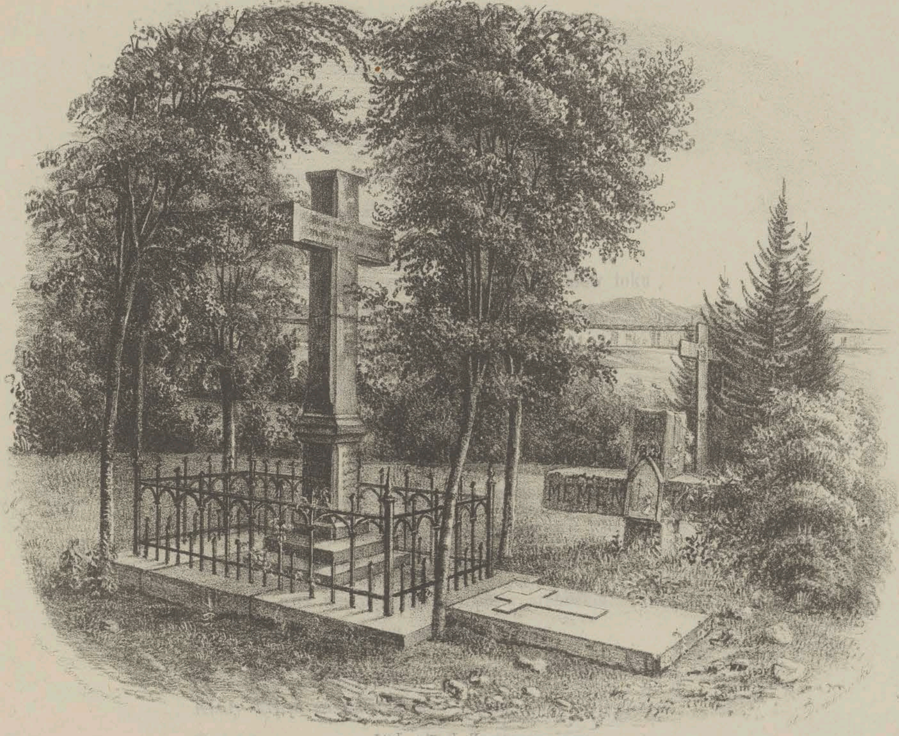
Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Łabędź przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniéj, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Kochałem Cię na wiosnę, kiedy pod mém okiem
Jako uczeń wzorowym szedłeś naprzód krokiem;
Czciłem w lecie kolegę w profesorów kole,
Boś wiernie i zaszczytnie służył naszéj szkole;
Ceniłem Twoje pisma lekarskiéj osnowy
I gorliwą obronę praw ojczystej mowy;
Nakoniec poważałem ciche Twoje cnoty,
Które stanowią wartość człowieczéj istoty.
Odtąd Saturn łakomy pożarł mnogie lata,
I zmienił cały obraz społecznego świata;
Przyczém zniknął obrazek téj wolnéj krainy,
Dużo z cudzéj, lecz więcéj może z własnéj winy.
Wreszcie ileżto naszych uczniów i kolegów
Zagnała śmierć tymczasem do Styksowych brzegów;
Reszta się postarzała podobnie jak i my,
Tyś dosięgnął jesieni, ja głębokiéj zimy;
Zimy, gdzie jak pod śniegiem więdnie wszelkie ziele,
Tak zazwyczaj trętwieje duch w skołczałém ciele;

Która najpiérw uczucia jak mróz kwiaty warzy,
Potém ostudza wolę i do, czynów chęci,
A wreszcie pląta myśli dla braku pamięci —
Starzec nieraz na jawie niby drzémiąc marzy.
Mnie Bóg łaskaw ochronił od téj smutnéj doli;
Mój duch nie uległ dotąd cielesnéj niewoli,
Lecz i owszem tém wolniéj rozwija swe siły,
Im bliżéj jego ciało grobowéj mogiły.
Co mu już samo przez się dowodzi naocznie,
Że po zgonie onego razem z nim nie spocznie,
Ale po krótkiém tutaj życiu pełném znoju,
Otworzy mu się nowa i świetniejsza droga,
Po któréj postępując ciągle w swym rozwoju
Sprawdzi w końcu na sobie podobieństwo Boga,
Jakiém już ozdobiło człeka Stwórcy słowo,
I do czego Zbawiciel wezwał go na nowo.
Owóż ten duch stale Cię kocha, czci i ceni,
Jak na wiosnę i w lecie, tak dziś w Twéj jesieni.

Dr. M. J. Brodowicz.

K. 1875.



w Lit. Inst. Tech. Krak.

Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Szanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.

Do

P. LUDWIKA ZAREWICZA.

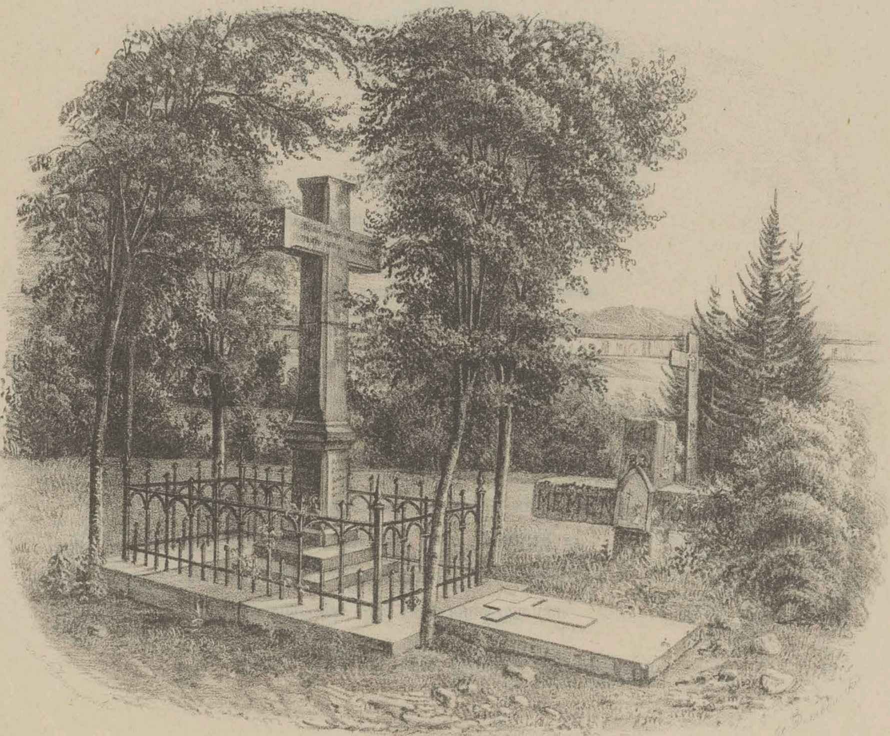
Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Łabędź przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniéj, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Skoro na wysłużonym odpocząłem chlebie,
Tak zaraz ozwała się już stara ochota
Rozpocząć obrachunek czynnego żywota:
Raz, bym zgłębił i poznał dokładniéj sam siebie;
Powtóre, bym się sprawił przed ludźmi i Bogiem,
Zanim pożegnam ziemię przed wieczności progiem.
Owóż w pracy podjętéj w tym dwojakim celu,
Tyś mię wspierał potężnie zacny Przyjacielu;
Gdyż bez Twojéj zachęty i ciągłéj pomocy
Nie byłbym jéj wykończył do śmiertelnéj nocy.
Mianowicie gdym badał mój żywot publiczny
I wartował wraz z Tobą zbiór piśmideł liczny,
Który w sobie zawierał rozmaite role,
Odgrywane przezemnie w Jagiellońskiéj szkole.
A byłto trud zaiste ze wszechmiar nie mały
Odczytywać tak mnogie i stare szpargały,
Różnéj daty i treści jak niemniéj skryptury,
Nabazgranéj częstokroć niby stopą kury.

Do takich należały moje, wyznam szczerze,
Pisane drobno, spiesznie, na szarym papierze.
Ty wszelako jąłeś się téj pracy łaskawie,
Czytając co czytelném było Twemu oku;
A coś nie mógł przeczytać, tam z reszty słów toku
Umiałeś sens wyśledzić, raczéj zgadłeś prawie.
Tym więc tylko sposobem pracując lat cztéry,
Potrafiłem nakreślić rys szkolnéj karyery,
I po nowych z leniwym zecerem mitręgach,
Wystawić go na widok w dwóch dość sporych księgach.
Treścią pierwszéj jest tylko moja professura,
O innych zaś urzędach moich prawi wtóra;
A w obydwóch odbity mój obraz ad vivum.
Wreszcie cały ten ballast złożyłem w archiwum:
Niechaj służy za dowód mozolnéj żeglugi
Odbytéj na okręcie szkolnym przez czas długi,
Kiedy byłem zmuszonym stać u jego steru;
Tudzież uczonym molom niech dostarcza żéru.
Nakoniec pozbywszy się wydawnictwa męki,
Przybywam dziś złożyć Ci najgorętsze dzięki,
I oraz z wynurzeniem sincerrimi voti
Wszystkiego co poczciwych uszczęśliwić może,
Modląc się codzień aby miłosierdzie boże
Raczyło moje wotum ziścić co do joty.
W szczególności żyj długo, czerstwo i wesoło;
Niech liczne pokolenie otoczy Cię wkoło;
Niech na Ciebie pospołu z całą Twą rodziną
Dobrodziejstwa bez liku ciągle z niebios płyną.
A gdy już patryarchy liczyć będziesz lata,
I wszystkiém się nacieszysz czém się ludzie cieszą,
I nabawisz do sytu z prawnuków Twych rzeszą,
I pożegnasz nakoniec ten zakącik świata,
To niechże grzeczny Charon nie biorąc obola
Szybko na Elizejskie przewiezie Cię pola.
Tam się połącz i raduj na wieki z wszystkiemi,
Którzy Ciebie jak Ty ich kochali na ziemi.
A znajdziesz ich nie mało, bo któż Cię nie lubi,
Skoroć poznał i Twoją przyjaźnią się chlubi.

Dr. M. J. Brodowicz.

R. 1875.



w Lit. Inst. Tech. Krak.

Śród nadziei i trwogi, pracy i kłopotów:
Szanuj życie: a zawsze do śmierci bądź gotów.

Do

MICHAŁA ZIELENIEWSKIEGO

Medycyny Doktora.

Niech Cię ten obraz bynajmniej nie smuci;
Łabędź przed zgonem, powiadają, nuci:
Ja wcześniéj, zanim spocznę pod tym głazem,
Żegnam Cię wierszem — chowaj go z obrazem;
A ilekrotnie spojrzysz nań przez chwilę,
Wspomnij zmarłego przyjaciela mile.

Kochałem Cię jak ucznia i adjunkta mego;
Czciłem jako kolegę i męża prawego.
Tyś mnie kochał nawzajem i pełen ochoty
Dzieliłeś moje szkolne trudy i kłopoty.
Później kiedy już dawno pozbyłem się szkoły,
I rozpoczął rachunek z rozmaitych roli,
Jakie z bożéj i ludzkiéj odgrywałem woli,
Podzielałeś znów ze mną ochoczo mozoły.
Jakoż bez Twéj zachęty i ciągłéj podpory
Nie byłbym go ukończył do dzisiejszéj pory,
Lub zaniechał zupełnie — zwłaszcza w moim wieku,
Który zwykle odmienia cały ustrój w człeku;
Gdzie jak w dziecku maleją znowu ducha siły,
I jak temu już tylko sen i pokarm miły.
A wtedy liczne moje akta i piśmidła
Butwiałyby gdzieś w pace od molów toczone,
Lub służyły pod baby i placki pieczone,
Albo kramarzom na sól, pieprz, świéce i mydła.

Tobie zatem dziękuję, iż czcionkami ryte
Nie pójdą w poniewierkę, nie zostaną skryte;
Żem w ten sposób nieznane prawdy mógł ocalić,
Sprostować mylne zdania a kłamstwa obalić.
Ależ drogi Michale, czémże Ci odpłacę
Twoją miłość stateczną i mozolne prace?
Ja starzec, którego wnet nożyce złéj parki
Wyprawią na brzeg Styksu do Charona barki.
Oto składam Ci w hołdzie te proste wierszęta;
Racz je przyjąć uprzejmie niby szeląg wdowi,
I zostawić w spuściznie miłemu Synowi —
Niech wspominając ojca i na mnie pamięta.

Dr. M. J. Brodowicz.

R. 1875.

MOJE MIESZKANIE W OBECNYM STANIE.

DO ŁASKAWYCH GOŚCI!

Od lat przeszło dziewięciu mieszkam w kamienicy,
Która stoi przy środku Krzyżowéj ulicy.
Tutaj zatem dla własnéj i Waszéj zabawy
Opiszę jéj sąsiedztwa i każdego sprawy,
Tudzież, jakie zjawiska ulica nadarza;
Zanim się z niéj sam puszczę w drogę do cmentarza,
I przeniosę na zawsze do méj własnéj chatki,
Którą dawno kupiłem tuż przy chacie matki.
A teraz oznajmiwszy cel i treść roboty,
Przystępuję z porządku do samej ramoty:

I. Na południe szpitale w których chorzy jęczą
I klinikom materyał do nauki stręczą.
Jest ich teraz dwa — jeden stary, drugi nowy,
Ale jeszcze trzy Wydział buduje krajowy.
Widać że kunszt lekarski kwitnie doskonale,
Skoro z liczbą medyków mnożą się szpitale.
Zresztą długa ulica z Krzyżową się styka,
Zwana dawniéj Wesołą dzisiaj Kopernika:
Ponieważ cię wprost wiedzie tam gdzie przez lunety
Astronomy szpiegują gwiazdy i planety;
Lecz dotąd znają tylko ich ruchów koleje,
Ale zresztą bynajmniéj co się na nich dzieje.
Wprawdzie butny rozumek słabego człowieka
W niebieskie tajemnice chciwie się zacieka
I najdziwniejsze mrzonki wylęgłe w głowinie,
Jako prawdy ogłasza zdumionéj drużynie.
Lecz już księżyc, który wciąż ziemi towarzyszy,
Drwi sobie z takich plotek — jeżli o nich słyszy?
Pożyteczniéj więc poznać świat ziemski i siebie,
Niż łamać sobie głowę nad tém co tam w niebie.
Przy téjże lat dwadzieścia mieszkając w swym domu,
Byłem świadkiem okropnych grodu tego losów
I doznałem sam licznych zbyt bolesnych ciosów.
Dziś już wszystko minęło, tylko obraz sromu

Tkwi statecznie w pamięci i serce uciska,
Ilekroć myśl uleci do tego siedliska.
Teraz się tam na dole rodzą ciągle dzieci,
A na górze ślepemu czasem słońce świeci.

II. Na wschód Karmelitanek klasztorek ponury,
Który zewsząd wysokie otaczają mury,
Zasłaniając cały świat ziemski przed ich okiem,
By go nieba wyłącznie poiły widokiem.
Ależ człowiek ukryty nawet w kreta nurze,
Nie potrafi oprzeć się człowieczéj naturze,
Która żąda by zadość jéj prawom się stało;
Inaczéj chorobami karci grzészne ciało.
Owóż taki los spotkał nowicyatkę młodą
Z największą dla całego Zgromadzenia szkodą:
Gdy ta nagle w okropną popadła durzycę,
Jaka trapi czasami dojrzałe dziewice,
Jeżeli samowolnie lub z lichych powodów
Wzdrygają się przystąpić do weselnych godów;
I nie znają rozkoszy niewymownéj matki,
Jaką tę napawają własne onéj dziatki.
Durzyca ta psychiatron będąc dawno znaną,
Furoris uterini otrzymała miano.
A gdy nic nie pomogły naganne perory,
Musiano więc zamknąć ją do ciemnéj kumory,
W nadziei że ten środek dzielny chociaż ostry,
Stłumi żar najgorętszéj ze zwierzęcych chuci,
A przytłumionéj duszy rozsądek przywroci
I oraz od zgorszenia zabezpieczy siostry.
Zresztą takiego środka używają wszędzie
Doświadczeni lekarze w podobnym obłędzie.
Tymczasem jakiś niecny wydał tajemnicę,
Głosząc że mniszki dręczą niesforną dziewicę
Za to, iż nie chce kończyć rozpoczętéj próby
I zawierać z zakonem uciążliwe śluby.
Zaraz więc szczwana tajnie zbiegła się tam rota
I poczęła szturmować do klasztoru wrota;
Inni znów po drabinach na mur się wspinali,
A wszyscy razem wrzeszcząc mniszki przeklinali,
Twierdząc że ich litości jedynie zamiary
Spędziły na ratunek nieszczęsnéj ofiary.
Wkrótce przybył ksiądz biskup z burmistrzem doktorem;
Lecz i tych omamiła straszliwa choroba

Tak iż poszli tym samym jak i motłoch torem,
Potępiając o zbrodnię cały zakon oba;
I prawie opętani od dzikiego szału,
Oddali wnet tę sprawę pod sąd trybunału.
Zaraz tedy wieziono nieszczęśliwą matkę
Pod strażą i w biały dzień do gmachu Michała,
I zamknięto jak ptaka drapieżnego w klatkę,
W któréj kilka tygodni pod śledztwem stękała.
Lecz kiedy śledztwo mylność wykazało sporu,
I że tu zakon złości jedynie padł łupem:
Trybunał nie chcąc wstydzić burmistrza z biskupem
Nie ogłosił publicznie swojego wyroku;
Ale kazał cichaczem przy wieczornym zmroku
Odwieść sponiewieraną matkę do klasztoru.
Tymczasem Ubrykówna u świętego Ducha
Osadzona aż dotąd rozumu nie słucha;
Lecz przeciwnie gestami i słowy zwiastuje,
Że ją furor uteri ciągle napastuje.

III. Z północy spory ogród Kurkowych Rycerzy,
Gdzie się bawią strzelając Niemcy, Żydzi, Piasty,
A przy licznych biesiadach spełniają toasty,
Które głoszą z trąbami wystrzały z moździerzy.
Prócz tego bywają tam koncerty wśród lata,
A w zimie świetne bale i zebrania w poście,
Z których mogą korzystać obcy także goście,
Byle tylko została złożona opłata.
Znajdziesz tam jeszcze dosyć dobrą restauracyę,
W któréj możesz zajadać obiad lub kolacyę;
Albo piwo i kawę spijać przy stoliku,
Jakich tam rozstawiono z krzesłami bez liku.
W chwilach niepoświęconych publicznéj zabawie
Wolno ci spacerować po całym ogrodzie,
Albo też przesiadywać na jakiéjbądź ławie,
Których tam znajdziesz wiele gościom ku wygodzie.
Otóż krocząc powoli po mnóstwie chodników —
Które między klombami jak węże się wiją,
Albo w gęstych zaroślach utonąwszy kryją —
Przed południem lubo téż wśród wieczornéj doby,
Trafisz tam po kolei na różne osoby
W towarzystwie, lub tylko luźnych samotników:
Tamte na dużych ławach zakręconych w koło,
Gwarząc pomiędzy sobą głośno i wesoło;

Tych przeciwnie na mniejszych w jakiemeś kąciku,
Dumając albo drzémiąc wspartych na stoliku.
Daléj jakiś literat w okularach czyta
I zatopiony w książce nie spojrzy na ciebie;
Lecz tuż za nim znajomy z cygarem cię wita
I zaprasza uprzejmie usiąść obok siebie.
Tam znów siedzą dwie panie, poważne matrony,
Robiąc sobie pończoszkę, a na wszystkie strony
Rozbiega się ich dziatwa i znów razem schodzi,
I skacze, i śmieje się, i wadzi i godzi.
Nakoniec zbliżywszy się do ciemnéj kryjówki
Uderzy cię znienacka miła niespodzianka:
Boś wytropił w uściskach z kochanką kochanka
I zrosłe w pocałunkach niby onych główki!
Lecz ty chroń się być długo świadkiem tajemnicy,
I zwróć natychmiast kroki ku innéj ulicy.
Nareszcie zakończywszy przegląd twéj wyprawy
I strudzony chwyć się sam opróżnionéj ławy.

IV. Nieco niżéj na zachód pan John warzy piwo,
I siejąc w kotły jęczmień zbiera płynne żniwo;
Które w beczkach na wozie wyprawia z browaru,
By dostarczyć szynkarzom chmielnego nektaru;
Jaki dziś z coraz większym popijają smakiem
Profesor ze studentem, urzędnik z wojakiem,
Tudzież mnichy i księża a nawet prałaci,
Wreszcie równie ubodzy jakotéż bogaci.
Zgoła że dziś pić piwo należy do mody,
I wkrótce nikt nie zechce pokosztować wody.
Dlatego rywal Johna Götz w swoim browarze,
A po nim inne jeszcze pomniejsze fabryki
Preparują ten nektar in gratiam publiki.
Ztąd coraz większa liczba szynków i szynkarzy;
Którym konsens wydaje z łatwością niegodną
Magistrat, by nakarmić swoją kasę głodną.
Lecz może nadejść pora, gdzie lud zachmielony
Ocknie się i porzuci swój nałóg szalony,
A pomnąc kto go wprawił w ten obyczaj dziki,
Rzuci się na browary i na browarniki;
Będzie burzył szynkownie i ścigał szynkarzy;
Przyczém i pan Magistrat nie ujdzie potwarzy.
Takiż los, ale wcześniej nieomylnie czeka
Gorzelnie i rozliczne likierów fabryki,

W których cedzą alkohol sprytne alembiki,
Najzaciętszego wroga rozumu człowieka.
Alkohol jako czynnik w pracowniach chemicznych
I aptecznych i różnych zakładów technicznych,
A wreszcie w potrzebach gospodarskich domu,
Wart zaiste o tyle ze wszechmiar pochwały;
Lecz staje się czynnikiem ohydnego sromu
I powszechną już dzisiaj dla ludzkości klęską,
Skoro w szynkach pod nazwą obrzydłéj gorzały
Rozpaja coraz więcéj płeć żeńską i męską;
Więc tłumi w sercach tkliwość, rozum więzi w pęta,
I strąca rodzaj ludzki poniżéj zwierzęta.
A wiadomo powszechnie, że zwierzę człowiecze
Okrutniejsze od wszystkich skoro się raz wściecze.
Niechaj więc mądre sejmy i panowie celni,
Którzy dotąd tak żwawo bronią swych gorzelni,
Nie czekają aż przyjdzie straszna katastrofa,
Bo im wtedy niezda się rada filozofa:
Mądry w chorób początkach zaraz leków szuka,
Gdyż późniéj niedołężna Eskulapa sztuka.

V. Jeszcze bliżéj, lecz na Wschód, staraniem Koźmiana,
Stanęła nagle buda dość spora, drewniana,
Zamiast łupku lub gonta smołowcem pokryta,
Którego woń zdaleka podróżnego wita.
Lecz z afiszów przy furcie przechodzień się dowie,
Że ta buda właściwie teatrem się zowie.
W niéj trzy razy na tydzień komedyantów rzesza
Ciekawych spektatorów smuci lub rozśmiesza:
Udając rozmaite społeczne figury
Począwszy od najniższéj warstwy aż do góry;
I kopjując ubiorem, gestami i słowy
Ich ubiór i postawę, czyny i rozmowy.
Przyczém huczna orkiestra przerywa ich trudy,
Którą można usłyszeć nawet zewnątrz budy.
Wszakże mimo wszelkiego kopisty zapału
Rzadko kopia podobna do oryginału.
Zresztą na ziemskiéj scenie każdy człek aktorem
W swym zawodzie; lecz żaden przy najlepszéj woli
Nie potrafi tak dobrze odegrać swéj roli,
Iżby został zawodu swego istnym wzorem.
Wprawdzie człowiek w swéj dumie zbyt zarozumiały
Gani jednych, a drugim nie szczędzi pochwały:

Więc i ziemskich artystów ustanawia ceny;
Lecz wszyscy są partacze w oczach Pana sceny.
Zgoła w życiu społeczném i w teatrze ludzie
Zamiast hołdować prawdzie, hołdują ułudzie,
Wszelako milsza dla nich teatralna złuda,
Bo zabawia i żadnéj nie przynosi szkody;
Ztąd bawią się w teatrach dziś wszystkie narody,
A Krakowian rozrywa teatralna buda.
Owóż z takiéj to roli Koźmian zbiera plony
Różne według rolników pracy i zdolności,
Którzy sobie rozdane sprawiają zagony,
Jak niemniéj według liczby teatralnych gości.
Poczém każdy robotnik odbiera zapłatę
Według tego jaką wniósł do kasy intratę.
Igrzyska teatralne trwają trzy godziny,
Ogrodowym wymierza ich rodzaj terminy.
Skoro zaś i tu i tam skończono zabawy,
Tak zaraz na ulicy pełno wszędzie wrzawy:
Gdy jedni gwarząc tłumnie po chodnikach kroczą,
A drudzy pojazdami tak silnie turkoczą,
Że się cały dom trzęsie a z nim moje łoże,
I że człek przed północą ledwie usnąć może.

VI. Tyle co do zakładów z każdéj strony świata,
Z jakiemi sąsiaduje Rehmanowa chata.
A teraz o przecznicy mówić nie zawadzi,
Która prosto z Wesołéj na Lubicz prowadzi,
I która przytoczone zważywszy igrzyska
Ma prawo do krzyżowéj zaiste nazwiska:
Zwłaszcza że już od świtu mnogie żywych kupy
Snują się i Krzyżują przez całą ulicę;
A od czwartéj z południa maszerują trupy
Na wozach lub na barkach wprost pod Rakowice:
Jużto skromnie, bez świeczek i w drewnianéj trumnie,
Już w cynkowéj, przy faklach, w karawanach szumnie.
Karawan okazały, sarkofag złocony,
Oświecają faklarze, idąc z każdéj strony;
A ciągną cztery w kapy odziane bachmaty.
Strój woźnicy: płaszcz czarny, kapelusz rogaty.
Przed nim na znak dewocyi, albo próżnéj pychy
Postępują parami cechy, księża, mnichy,
I szpitalne sierotki i ci co z opieki
Dobroczynnéj żywią się, starzy i kaleki.

Za nim krewni i bliżsi domu przyjaciele,
I mniéj więcéj znajomych umarłemu wiele,
Wreszcie w suknie żałobne postrojone sługi;
I pojazdów — najwięcéj próżnych — szereg długi.
Przytém ilekroć pogrzeb taki się wydarza
Liczne roje żebraków ciągną do cmentarza,
Kędy ich wabi nadzieja niepróżna
Iż przy bramie cmentarnéj czeka ich jałmużna;
Za którą poklepawszy modlitewkę krótką
Spieszą zaraz do karczmy by się upić wódką.
Należałoby zatém już z takiéj przyczyny
Rozburzyć raz to brudne dziadowskie ognisko,
I uwolnić spokojne umarłych siedlisko
Od karczemnych hałasów próżniaczéj drużyny.

VII. Za profanami spieszą dość licznie wojaki,
Których jednak wywożą na sposób dwojaki:
Kilku w budzie raniutko i bez księdza wcale,
A jednego z południa bardzo okazale.
Wtedy bowiem prowadzi oficer na przodzie
Poczet prostych żołnierzy w marsowym pochodzie;
Za nim krzyż i kapelan wojskowy w birecie,
Który jakąś modlitwę za zmarłego plecie:
Żeby mu odpuszczona była wielka wina
Za to że się zatrudniał rzemiosłem Kaina,
A może nawet pragnął buławy hetmana,
By mógł krocie mordować tocząc bitwy krwawe,
I zarobić na wodza zwycięzkiego sławę?
W czém go jednak zawiodła śmierć nieubłagana.
Nie chcąc widać by zwiększył liczbę mistrzów sławnych
W tym kunszcie, zwłaszcza dzisiaj bieglejszych od dawnych;
Wobec których mistrz Kain tylko lichym żakiem,
Nie godzien stać w szeregu z najprostszym wojakiem:
Gdyż nieznaną mu była nawet krzywa szabla
I dlatego maczugą zamordował Abla;
Kiedy dziś każdy prosty sołdat w Waffenroku
Nosi zawsze na pasku swój pałasz przy boku,
I pewniéj trafia kulą z karabinu małą,
Niżli ongi sam Cezar z łuku długą strzałą.
Potém toczy się czarna z baldachimem kara,
Którą ciągnie powoli ciężkich koni para,
A na znak, że w niéj jedzie Bellony pachołek
Starożytny hełm grecki zdobi jéj wierzchołek.

Za karą tłum kamratów z téj saméj falangi
I kilku oficerów niższéj zwykle rangi;
A z tyłu i po bokach liczna żydków zgraja
I dziéwek i próżniaków ten orszak podwaja.
Wabi ich zaś szczególnie wojskowa muzyka,
Która bardzo żałośnie gra za nieboszczyka.
Skoro zaś kondukt wyszedł z Krzyżowéj ulicy
I dotarł aż do murów kurkowéj strzelnicy,
Wystrzał z broni parady koniec zapowiada,
A potém zaraz bęben wzywa do powrotu.
Natenczas spieszy tłumnie cała kawalkada;
A muzyka pozbywszy żałoby kłopotu
I pragnąc rozweselić żołnierzy polaków,
Gra im — czysta ironia! — skocznych krakowiaków,
Co się szczególnie żydkom i dziewkom podoba.
I na tém to kończy się wojskowa żałoba.
Odtąd jadą na cmentarz trupy cicho same:
Gdzie ich razem we wspólną zakopują jamę.
Już to w trumnie, już nago, lub w jakiéjś odzieży,
Ale zawsze bez księdza, śpiewu i pacierzy.
Nigdy téż takich in spe bohaterów zgony
Nie ogłaszają światu armaty lub dzwony,
Ani téż rozlepione po murach plakaty:
Małe, średnie i duże w łokciowych rozmiarach,
Według tego czém był trup złożony na marach:
Mało- albo wielmożny, jasny lub bogaty.
Ależ te adoracye cielesnéj skorupy,
Jakiemi się czcza duma wyróżnia i puszy,
Nie przysporzą zbawienia ladajakiéj duszy.
Zresztą na marach wszystkie równe sobie trupy.
Jakoż ich nie rozróżnia w grobie robak głodny,
Czyli ten marmur kryje, czy mogiłka z darni:
Dla niego każdy przybysz do jego spiżarni
Równie smaczny i równie poważania godny.

I w takimto dzisiaj znajduje się stanie
Moje ciche przed laty dziewięcią mieszkanie!

W Krakowie dnia 18 Sierpnia 1876 r.

11. Lekarstwo na bojaźń śmierci

LEKARSTWO
NA BOJAŹŃ ŚMIERCI.

Kto kocha nad wszystko Boga
I pała bliźnich miłością,
Ten się nie trwoży wiecznością,
Kędy przez grób wiedzie droga:
Bo wierzy i ufa śmiało,
Że w nim złoży tylko ciało;
Kiedy duszę wyzwoloną
Z więzienia glinianéj chaty —
Przyodziawszy w nowe szaty —
Ojciec przyjmie na swe łono.
Znając bowiem dobrą wolę
Z jaką — smutna czy wesoła —
Uprawiała w pocie czoła
Zbyt jałową ziemską rolę,
Przebaczy jéj plewę marną,
Nawet kąkol, jaki może
Siała czasem między zboże;
A zapłaci czyste ziarno;
I połączy ze wszystkiémi
Które kochała na ziemi:
Iżby go wspólnie wielbiła
I odtąd z nim wiecznie żyła.

Więc i ty starcze zgrzybiały,
Jeżeli cię silnie grzeją
Miłość z wiarą i nadzieją,
Nie lękaj się ostréj strzały,
Którą śmierć ciało ugodzi,
Gdyż ta duszę wyswobodzi
I wyprawi wprost do Boga,
Kędy mleczna wiedzie droga.

Kraków d. 20 Grudnia 1879 r.

61

Ostatnia korekta [illegible] Autora.

CURRICULUM VITÆ

do końca 1850 roku.

Zrodzony i chowany na błoniach Podola,
Od najlepszych rodziców, w dobrych dzieci gronie,
Właśnie, kiedy ojczyzna jęczała przy zgonie,
Dziwna była długiego życia mego dola.
Zakończywszy niemieckie i łacińskie szkoły,
Potem zaś filozofii przebywszy mozoły,
Wypadało porzucić rodzicielskie progi,
I chwycić się jakowejś w społeczeństwie drogi.
Nie łakomy na złoto, ni zaszczytów chluby,
Które zwykle kierują młodzieńca wyborem,
A nawet bez namysłu puściłem się torem,
Jakim iść postanowił mój przyjaciel luby.
Eskulapa zbawiennej jęliśmy się sztuki,
Która zdrowie lub ulgę niesie chorym ciałom,
Ponieważ ta schlebiała naszym ideałom,
Jakie najprzód Gellerta moralne nauki,
Wskrzesiły, lecz najmocniej rozogniła może
Powiastka o Robercie, wzorowym doktorze,

Ażeby więc tem pewniej dojść jej tajemnicy,
I dopiąć jak najrychlej tak świetnego celu,
Mimo licznych trudności i przykrości wielu,
Pojechałem nakoniec do Państwa stolicy.

Tam to po siedmiu latach pracy bardzo gorzkiej,
Nieraz w dużej potrzebie i prawdziwej nędzy,
Bez pomocy, pociechy, rady i pieniędzy,
Otrzymałem wszelako biretik doktorski.
Poczem łaskawe nieba dały dobrodzieja:
Poznał mnie zacny Raimann, wziął na pomocnika,
I choć silna drugiego popierała klika,
Zawiodła jej zabiegi obłudna nadzieja
Byłem zatem Adjunktem przez lat cztery całe,
I zebrałem korzyści ze wszechmiar niemałe:
Albowiem ucząc drugich, uczyłem sam siebie,
A przytem nie brakło mi na groszu i chlebie;
Prócz tego zjednałem se przyjaźń naczelnika,
I chorych zaufanie, i miłość młodzieży —
Która jeszcze w tym wieku kocha, ufa, wierzy —
I poznałem dokładnie, co to jest klinika.
Nakoniec wyjechałem z Wiedeńczyków raju,
Zostawiwszy tam pamięć dobrego imienia,
I opatrzon sowicie w chlubne zaświadczenia,
Powróciłem szczęśliwie do polskiego kraju.

Owóż to dobre imię i świadectwa mnogie,
Wydały wnet owoce dla mnie bardzo błogie:
Bo zalety, jakiemi brzmiały w swej osnowie,
Przechyliły na moją stronę znowu szalę;
I musieli ustąpić ze wstydem rywale,
A mnie dano katedrę kliniczną w Krakowie.
W Krakowie! owym świętym dla Polaka grodzie,
Niegdyś stolicy królów w potężnym narodzie;

Poprawki:

Str. 1 — ; zamiast ,
— 2. ni — i
— 3. dziecie zamiast dzieci.
— 5. przyniosę.
— 5 przełożyć „ łatwo wszystkie
— 6 zamiast Każdej ma być onych.
— 6. zamiast ci czytaj on tobie nie wierzy.
— 9. zamiast schować czytaj zebrać. —
— 9. zamiast magnat czytaj bogacz
— 11. zamiast szczególnej czytaj szczególnych
— 11. zamiast mi czytaj im

stron. 11. j

" 13. zamiast łata
czytaj lata

" 13. zamiast
Swięgocząc
Świergocząc

" 14. batogi

" 14.b zamiast
wychwalita
wychwalała.

" 15. przełożyć
miętkinię cicho
jakiś —

Dzień dobry Czcicielom!

Po~~prosz~~cie wpierw – należycie bez omyłki – a potem raz odbijać.

N

Dziękuję całuję.

Który wtenczas był małą Rzecząpospolitą;
Dopóki jej, jak dużej, starej nie zabito.
W Krakowie! który zawsze był rodzicom miłym,
I kędy od dzieciństwa mojego tęskniłem.
W Krakowie, gdzie mój ojciec już przed stoma laty,
Wyuczył się łaciny w nowodworskiej szkole,
Potem służył Massalskim, a wreszcie żonaty
Przeszedł do Lubomirskich w służby na Podole.
Tam, pracując poczciwie trzydziści lat zgórą,
Dostał od księżny Pani wieś emeryturą,
I w niej żywot zakończył pełen pobożności,
I przy skromnej cerkiewce, złożył swoje kości;
Kiedy matka ćwierć wieku wiodąc życie wdowie,
Powróciwszy do przodków starego siedliska.
We dwanaście lat później spoczęła w Krakowie,
Więc na ziemi, gdzie niegdyś stała jej kołyska.
Jam ją chował — najmłodsze z dziesięciorga dzieci,
I z nią oraz najdroższy skarb mój na tym świecie.

Profesorska katedra w Jagiellońskiej Szkole,
Otwarła mi obszerne w mym zawodzie pole,
A następnie utarła do urzędów drogi,
O jakich nie marzyłem, wstępując w jej progi.
Aczkolwiek bez najmniejszych zabiegów z mej strony;
Lecz przeciwnie bywało, iż nieuprzedzony,
Musiałem, ulegając prośbom lub potrzebie,
Dla dobra ogólnego poświęcić sam siebie,
I pomimo odrazy, wbrew moim zasadom,
Przodkować rozmaitym radom i paradom.

Mnogie były zadania i ciężkie mozoły,
Jakie mi każdy szczebel nasuwał z kolei,
I zbyt rzadko dnie smutne przeplatał wesoły!
Ale za to nie mało ziściłem nadziei;

A jeżeli mnie czasem jakaś i zawiodła,
Pocieszałem się chęcią, że nie była podła.
Wreszcie nieraz w wesele zamienił się smutek,
Kiedy zawód doznany lepszy wydał skutek.

Najdłużej zatrudniała katedra kliniczna,
I Praktyka prywatna, długo bardzo liczna.
Katedrę lat dwadzieścia i osiem dzierżyłem,
I był ten obowiązek dla mnie arcymiłym:
Gdyż miałem dużo uczniów, wogóle poczciwych,
Zdatnych, skromnych, gorliwych i nauki chciwych.
Żyliśmy z sobą ciągle starym obyczajem,
Oni mnie miłowali, a ja ich nawzajem;
Aczkolwiek bez umizgów, podchlebstw, pobłażania,
Za jakie się kupuje popularność tania;
Przeciwnie, wymagałem surowo wszystkiego,
Cokolwiek się nauki, lub dobra chorego,
Albo wreszcie tyczyło porządku zakładu;
Zmuszając ich bez folgi do pracy i ładu.
Za to ja też nawzajem, wszystkiego ochotnie
Uczyłem ich bez przerwy przez rok szkolny cały,
Bo wtedy nie robiono zapisów dwukrotnie,
I nie cięto przedmiotów na różne kawały,
By przedawać za czesne privatim co śliczne
A poślednie zachować na lekcye publiczne —
Aczkolwiek opłacane ze rządowej kassy:
Nie były tak szczęśliwe ongi moje czasy!
Wtedy tylko rząd płacił za wszelkie odczyty,
A uczniowie wszystkiego mogli słuchać gratis,
Lecz za to, niezawisły mistrz od ich kaléty,
Mógł każdemu wypalić verba veritatis,
I zapisać w Cenzurze bez ogródki, śmiało,
Jak się uczył, co umie, dużo, nic, lub mało?
Tudzież jaki obyczaj, czy uczęszczał stale
Na prelekcye, lub rzadko, lub nie bywał wcale?

Dziś taka pedanterya nie krępuje ducha:
I byle tylko wpisy nastąpiły wczesne,
A do kassy złożono należyte czesne,
Mistrz naucza czego chce, uczeń co chce słucha.
Nadto uczeń nie składa dziś rocznej rachuby
I mistrz nie ma postępów jego ciągłej próby,
Ani prawa oceniać jego obyczaje,
Lecz tylko z frekwentacyi świadectwo mu daje.
A gdy i tej ocenić nie jest wstanie ściśle,
Zatem musi przestawać na prostym domyśle,
Lecz najczęściej rad nie rad pisze, że był „pilnym“,
Albowiem wzgląd na czesne jest dowodem silnym.
Było to w onym roku, kiedy Vindobona
Niegdyś mądra, poważna, sędziwa matrona,
Opanowana nagle szałem politycznym,
Ogarnęła cały rząd postrachem panicznym;
I wtedy słynna Aula ministra oświaty
Przymusiła skasować prawa starej daty,
A natomiast ogłosić te nowe dekrety,
Naśladając niemieckie uniwersytety.
Czas okaże, czy więcej pożytku lub szkody,
Przyniosą społeczeństwu te szkolne swobody?

Praktyka moja padła jeszcze na te chwile,
Kiedy Kraków swobodny w pełnej słowa sile,
Posiadał dobrobytu dwa główne warunki:
Wolność handlu, z sąsiadem przyjazne stosunki,
Mieszkało w nim natenczas oddawna i stale,
Dużo rodzin zamożnych, żyjąc okazale;
Oprócz tych, wiele kupców i rękodzielników,
I duchownych tak świeckich, jak i zakonników.
Wszyscy ci wiedli żywot swobodny i błogi,
A przy nich mógł się wyżywić łatwo ubogi.
Nakoniec, przebywali w murach tego grodu,
Dłużej, króciej i w celach różnego rodzaju,

Polacy z wszystkich dzielnic rozdartego kraju,
Jak równie cudzoziemcy różnego narodu.
Przeciwnie, bardzo mało miał wtedy lekarzy,
A wszyscy już majętni i poczęści starzy,
Którzy mnie więc dość chętnie cierpieli w swem gronie,
A nawet koleżeńskim zaufaniem czcili,
I swemi pacyentami ze mną się dzielili:
Co się rzadko przytrafia w lekarskim zakonie;
Miałem więc w krótkim czasie chorych podostatek,
Ze wszelkiej, jakto mówią, towarzyskiej sfery,
Począwszy od pałaców, aż do wiejskich chatek,
I mogłem poznać różne onych charaktery,
A poznany nawzajem od nich przy chorobie,
Zyskiwałem przyjaciół w pacjentów osobie.
Praktyka moja zatem, prócz zysków z rzemiosła,
(Które dużo konfratrów, na wzór rzemieślniczy,
Do najwyższych korzyści swego stonu liczy),
Inne i kosztowniejsze jeszcze mnie przyniosła.

Wszystkie zwykłe urzędy przy zakładach szkolnych,
Jużto dłużej, już krócej kolejno dzierżyłem;
Lecz oprócz tych, kilkakroć zniewolony byłem
Do sprawunków niezwykłych, przykrych i mozolnych;
A to z okazyi ciągłych reform tej krainy,
Gotujących ją zwolna do śmierci godziny!
Pomijając tu drobne, celniejsze wymienię,
Bym dał poznać wogóle każde zatrudnienie;
Najprzód więc miałem udział w sprawach *komitetu*,
Przy powtórnej reformie Uniwersytetu;
Potem byłem lat cztery *dziekanem* w wydziale,
A potem urządzałem krakowskie *szpitale*;
Następnie piastowałem berełko *rektora*,
A przytem wyręczałem wciąż *konserwatora*
Szkoły głównej we wszystkich czynach *wielkiej rady*;
Wkońcu, po długiej walce, skłoniłem się wreszcie

Objąc w zarząd naczelny wszystkich szkół zakłady,
Jakie wonczas istniały w naszem wolnem mieście:
Najtwardsze jarzmo, jakie w mojem życiu całem
Przez lat dziewięć bez przerwy cierpliwie dźwigałem,
I wtedyto, licząc się z mym czasem i siłą,
Zrzec się mojej praktyki prywatnej trza było;
Zatrzymawszy wszelako kliniczną posadę,
Bym nie pozbył w urzędzie pana komisarza
Najdroższego dla siebie tytułu lekarza,
I mógł przynajmniej biednym chorym dawać radę,
A nareszcie z uczniami żyć razem tak długo,
Dopóki pozostanę Akademii sługą.
Atoli ucząc w szkole i pracując w biórze,
Nie mogłem już wystarczyć na fatygi duże,
Jakie lekarz sumienny znosi w dzień i w nocy,
Przy chorych, którzy jego wzywają pomocy.

Nie mam już dzisiaj czasu ani też ochoty,
Wyliczać tych urzędów, trudy i kłopoty,
I jakie ztąd wynikły pożytki lub szkody?
W aktach szkolnych złożone są tego dowody,
Ktoby więc chciał je poznać i z nich mego ducha,
Niech wartuje archiwa, a plotek nie słucha.
Tu zaś tylko solennie wypowiedzieć muszę:
Że wszystkie te urzędy, godności, zaszczyty,
Którym mój czas i siły i zyski prywatne
Poświęciłem — były źle, lub całkiem niepłatne,
I nękały okropnie tak ciało, jak duszę.
A jednak zajrzał mi ich niejeden wróg skryty!
Mieniąc, że mnie bogacą i poją słodyczą,
I jakobym sam gonił za onych zdobyczą?
Każdy bowiem drugiego swoim łokciem mierzy,
Gadaj z kłamcą otwarcie, on ci nie uwierzy.
Bo jakaż rozkosz siedzieć przy zielonym stole,
I słuchać zdań częstokroć między sobą sprzecznych —

A czasem nawet kłótni i słówek niegrzecznych,
Bo rzadko bywa zgoda w panów rajców kole!
Więc, kiedy bardzo mądrze rozprawiali jedni,
To drudzy takich nieraz napletli nam bredni,
Że mniemałbyś, iż sobie stroją tylko żarty?
A wszelako, każdy w swem zdaniu tak uparty,
Iż, choćbyś mu dowodził od rana do zmroku,
I miał za sobą wszystkich rozsądniejszych wota,
To on przecież od swego nie ustąpił kroku,
I z jakim przyszedł, z takim wyszedł znów za wrota.
Niechże w końcu przeciwne przeważyły głosy,
To trzeba było widzieć, jak zwiesiwszy nosy,
Każdy mruczał pod swoim, i rozwodził żale,
I nie żegnając nawet, rzucał radną salę.
Wszystko to można było jeszcze znieść i strawić,
Czasem nawet uśmiać się i trochę zabawić,
Zwłaszcza, gdy przeciwnicy nadęci od buty,
Ścierali się, niby dwaj angielskie koguty,
I za słówko ostrzejsze, albo żarcik gruby,
Byli niemal gotowi chwycić się za czuby?
Gdybym strzegąc urzędu i miejsca honoru,
Marszałkowską powagą nie przerywał sporu.
Jeszcze większy wstręt czułem do uroczystości,
Kiedy przyszło rozprawiać wobec cudzych gości,
Lub przodkować w procesyi na świętego Jana,
Albo na imieniny lub rodzinne święta
Każdego z najjaśniejszych Opiekunów Pana,
Częstować gratulacyą jego rezydenta,
I wysławiać dowody łaskawej opieki,
Które Kraków pamiętać będzie w późne wieki!
Lecz najtrudniej łykałem te szumne tytuły,
Które się niustannie z każdej gęby snuły;
I zdało się mym uszom, że je dźgają rożny,
Ilekroć usłyszały głos „jaśnie wielmożny“!
Gdyż jako dziś ten tytuł jest w powszechnej modzie,
Tak i za Republiki bywał w naszym grodzie:

Więc biskup i kanonik — prezes z senatorem,
Reprezentant z marszałkiem, rektor z profesorem,
I czy kto miał, czy tylko dzierżył jakąś wsinę,
Byle tylko łeb zadarł, najeżył czuprynę,
Wszyscy równie wielmożni, wszyscy równie jaśni!
O ileż to na świecie krąży takich baśni!
Jakkolwiekbądź, szanując obyczaj wszelaki,
(Jeźli takowy zresztą nikomu nie wadzi,
A dogadza tak panom, jakoteż czeladzi).
Odpłacałem grzecznością grzeczności oznaki;
Lecz dzieląc z podwładnymi wszystkie onych trudy,
I unikając cienia nikczemnej obłudy,
Chciałem przeto naocznie przekonać ich w duszy,
Że mnie urząd i tytuł bynajmniej nie puszy.

Praca dała zaszczyty — z pracy szły dostatki,
Tak, iż mogłem zbudować dwie porządne chatki,
I założyć obszerne przy każdej ogrody,
I starczyć na potrzeby, a nawet wygody;
I z nadwyżki wspomagać ubogą rodzinę,
I mimo to na starość schować odrobinę.
Bowiem do spekulacyi miałem głowę ciasną,
A przytem z Bożej łaski zbyt poczciwą wolę,
Jak żebym wyzyskiwał moich chorych bole,
I darł cudze kieszenie, aby łatać własną.
Więc chociaż nie wchodziłem z pacjentami w targi,
I nie liczyłem wizyt, ni czas na minuty,
I niedbałem, czy datek lichy był lub suty,
I na moich dłużników nie głosiłem skargi,
Lecz przeciwnie milczeniem taiłem ich brudy,
To jednak mimo dużej z tej przyczyny szkody,
Znaczne miałem w ogóle z praktyki dochody.
Zdarzało się albowiem, że pachołek chudy
Hojniej nieraz zapłacił drobne bagatelki,
Niżeli tłusty magnat albo kupiec wielki.

Owóż zgoła, aczkolwiek nie byłem łakomy,
I chociaż dużo oba kosztowały domy,
I wreszcie, mówiąc prawdę bez ogródki szczerą,
Chociaż byłem rozrzutnym, raczej niźli sknerą —
To wszelako nie znałem długów ni lichwiarza,
Co się rzadko w Krakowie między ludźmi zdarza.

Tak pracując bez przerwy, długo, rozmaicie,
Stanąłem dość szczęśliwie na żywota szczycie,
I tuszyłem, że moje służby i ofiary
Zjednają mi spokojność, kiedy będę stary.
Zwłaszcza, żem szedł otwarcie prostą zawsze drogą,
I od wszelkich ubocznych względów niezawiśle
Pełniłem obowiązki według ustaw ściśle;
Więc nie mogłem obrazić ni skrzywdzić nikogo;
A jeżeli ktoś mniemał że był pokrzywdzony,
To pewne wina tego tkwiła z jego strony,
Lub w ustawach, jakich ja nie mogłem odmieniać:
A których on nie umiał lub nie chciał oceniać,
Jakoż krocząc tym torem przez wszystkie zawody,
Odbierałem ze wszech stron zaszczytne dowody
Zaufania, szacunku i szczerej przyjaźni,
Od władz i od podwładnych, tak starych jak nowych,
Tudzież od mych znajomych, tak chorych jak zdrowych:
Od nich zatem nie mogłem obawiać się kaźni.
A, nienawidząc podłych zauszników służby,
Sam zaś niezdolny tropić tajnych wrogów ślady,
Nie mogłem też dopatrzeć żadnej groźnej wróżby,
Więc mniemałem, że jestem bezpieczny od zdrady?

Ale moją otuchę za pogody silną,
Okazała niestety straszna burza mylną!
Burza, którą młódź najprzód zgotowała w szkole,
I która po zamachu nikczemnym i pustym

W roku tysiąc osiemset czterdziestym i szóstym,
Oddała wolny Kraków napowrót w niewolę;
A ponowiona w ośmym przez stare już głowy,
Ścieśniła jeszcze mocniej biednego okowy.
Owóż to w owym roku, gdy Europa cała,
Niby Wezuw w wybuchu wrzała i szalała;
Kiedy ludy targały niewolnicze pęta,
W jakie je władza świecka okuła i święta;
W roku powszechnej wszystkich ze wszystkimi wojny,
Gdzie człek najniewinniejszy nie mógł być spokojny;
Zgoła w roku niesławnej i sławnej pamięci,
Doświadczyłem ja także szczególnej niechęci,
Od takich, którzy dotąd czcić mnie się zdawali,
Czy to w nadziei zysku? czyli, że się bali?
Lecz do których przybyło później jeszcze trochu
Swojskiego i obcego lichego motłochu!
Różne zatem figury i różne przyczyny,
Jak niemniej różne także były owe winy,
Które miały ich niechęć ku mnie spowodować,
I za które musiałem wtedy pokutować,
Pobudki i figury, które grały role
W tym ohydnym dramacie, zamilczeć tu wolę,
Jako znane ówczesnym, a dziś częścią w grobie,
Niechaj więc w zapomnieniu spoczywają sobie.
Wreszcie ja mi przebaczam z bliźniego miłości,
Zwłaszcza, że mi na dobre wyszły onych złości,
Że niejeden ze szału ochłodnąwszy potem,
Poprawił się, lub nędznym zakończył żywotem.
Ktoby zaś był ciekawym poznać moje grzechy,
Które w jednych budziły gniew, a w drugich śmiechy,
Ten niech czyta ówczesną Gazetę Krakowską,
Boć ta mi wyprawiała wciąż muzyki kocie,
Któremi dyrygował prawicą mistrzowską,
Sławny skrzypek Iżycki, w czoła swego pocie,
Niechaj oraz przegląda kolumny Jutrzenki,
Która śród artykułów, wartych wszelkiej chluby,

Podobne jak gazeta prawi nieraz duby,
I miesza z jej muzyką swoje także jęki.
Nakoniec niech przewietrzy rozmaite świstki,
Jakiemi jedni drugich zabawiali chłystki:
Gdyż w owym politycznym dzikim karnawale,
Mądry z głupim pospołu gonili z łoskotem,
I śpiewając radośnie, lub rozwodząc żale,
Jednych cukrem, a drugich obrzucali błotem.

Zrazu odurzyła mnie nagła zawierucha,
Lecz wkrótce odzyskałem hart i trzeźwość ducha,
Więc pełniłem spokojnie urzędowe sprawy,
I znosiłem cierpliwie nikczemne odiosa;
A w ten sposób zdawałem śród ulicznej wrzawy,
Praktycznie z filozofii moje rigorosa,
Abym sobie zasłużył na dyplom doktora,
Jakim mnie obdarzyła właśnie rokiem wprzódy,
Alma Jagiellonica sędziwa Maciora,
Zawdzięczając podjęte w jej usługach trudy,
Lecz to nie ukoiło rozjuszonej roty,
Ale drażniąc, tem większej dodało ochoty
Do ścigania ofiary, która milcząc hardo,
Odprawiała jej napaść spokojną pogardą.

A wszechnica? — może kto zdziwiony zapyta,
Nie stanęłaż w obronie swojego rektora?
W szczególności też bliżsi jego przyjaciele?
O tem możnaby wprawdzie mówić bardzo wiele,
Lecz tu dosyć powiedzieć, iż jak owa pora,
Tak równie dziwna była onych konduita!
Jedni zdali się na to patrzeć obojętnie,
Lecz nie brakło i takich, co patrzali chętnie,
Rozbierając zawczasu, jakie z jego zguby,
Mogliby odnieść zyski według swej rachuby?

Do tych liczę w szczególe owe gładkie lisy,
Co to jawnie po jego stali niby stronie,
Ale wlazłszy cichaczem za ciemne kulisy,
Ściskali jego wrogów za obydwie dłonie.
Reszta go żałowała, lecz milczkiem jak tchórze,
W obawie, aby sami nie wzięli po skórze.
W końcu garstka przyjaciół ozwała się przecie,
W obronie skrzywdzonego, z przyganą, gazecie;
Lecz ta ufna w bezkarność swawolnego druku,
I w motłoch, który wtedy panował na bruku,
Zliczywszy wreszcie szczupłą falangę rycerzy,
Wyśmiała ich, ochrzciwszy mianem nietoperzy,
A Iżycki, jak dawniej, ciągle skrzypkę stroił,
I rzempolił, i miauczał, i codzień się spoił.
A młodzież? młodzież wtedy już w części zuchwała,
Zamiast słuchać swych mistrzów, im rozkazywała.
Zwłaszsza, kiedy jeden z nich płynący za wodą,
Zagrzewał ją do czynu Mickiewicza odą;
A nawet proponował, iżby za pan-bracie,
Profesor ze studentem zasiadał w senacie.
Obiecując ztąd wielkie dla postępu zyski,
Zwłaszcza u nas, gdzie stopień oświaty zbyt nizki,
W porównaniu do Niemców, Włochów, Anglów, Galów,
A nawet dzikich jeszcze niedawno Moskalów,
Których już dziś nad Polską góruje kultura.
Jak nam znawcy dowodzą u Świętego Jura;
Lecz nierównie dobitniej owe krocie rublów,
Których więcej po całej lała Słowiańszczyźnie,
Niźli po całej niegdyś starej Polsce wróblów.
Świegocząc jej najczulej o wspólnej ojczyznie:
Bo jak w Niemczech talary, w Holandyi dukaty,
Tak ruble są dowodem moskiewskiej oświaty.
Naszej lichoty winy w tem szukać należy,
Że dotąd nie wzywano do narad młodzieży,
Lecz od czasów Kazimierza do obecnej chwili,
Sami starcy wyłącznie o wszystkiem radzili —

Starcy! których mózg zimny, suchy i stężały,
Nie jest zdolnym wypacać wzniosłe ideały,
Jakiemi błyszczą młode fosforyczne mózgi,
Odkąd ze szkół wygnane batogi i rózgi,
I odkąd młódź bezpieczna od wszelakiej kary,
Może smolić swobodnie przy piwie cygary.
Wreszcie, każdy to przyzna że młodzieniec żwawy
Dalej i prędzej zajdzie, niźli stare nogi.
Czas zatem uchwycić się przeciwnej ustawy,
I wprowadzić tych rajców w senatorskie progi.
Seniorom wydała się ta haringa dzika;
Lecz młodzież wychwaliła swojego rzecznika
I z jegoto namowy, tudzież za rozkazem
Samozwańczej Narodowej w Krzysztoforach Rady
(Lękającej się jakiejś utajonej zdrady)
Niechciała z panem Deymem i mistrzami razem,
Pojechać w delegacyi do państwa stolicy,
Aby złożyć monarsze adres od Wszechnicy.
Później jeszcze taż Rada wydarła nam gwałtem,
Ów adres — zarządziwszy oraz barykady!
Ależ te zakończyły świetne dzieje Rady,
A rajców za granicę wygnały ryczałtem!

Widząc zatem, że się szał coraz więcej szerzy,
I że nie ma co ufać starym ni młodzieży;
I niechcąc dłużej czasu i sił moich trwonić
W usługach korporacyi, niezdolny obronić
Ani mnie, ani siebie, ani swych zakładów
Od wylęgłych w zgniliznie anarchii owadów,
Nakoniec, przewidując skutki tych obłędów,
Pozbyłem się kolejno niewdzięcznych urzędów:
Więc najsamprzód rektorstwa, z kolegów wyboru
Przyjętego powtórnie, pomimo oporu;
Następnie porzuciłem komisarstwo krwawe,
Sprawiane, dopełniając Opiekunów wole;

Naostatek zaś dałem pożegnanie szkole,
Która mnie zawdzięczała swój byt, ład i sławę.
Pożegnany serdecznie od tych uczniów grona,
Których nie zakaziła trucizna szalona.
Poczem skryłem się zaraz w mej cichej zagrodzie
Otoczonej murami z tyłu i na przodzie,
A wrogi obaczywszy, żem już zniknął z pola,
Że się zatem skończyła gończa onych rola,
Tryumfując i syci wzajemnych oklasków,
Porzucili arenę i przestali wrzasków.
Dziś może mruknie jakiś cicho, gdy nawiasem
Wspomni na rządowego niegdyś komisarza;
Lecz tem głośniej rozwodzi, ilekroć się zdarza
Gorzkie żale za owem dobrym, starym czasem,
Wolnej, taniej, spokojnej Rzeczypospolitej,
Gdy nieznano akcyzy, szańców ni żołnierza
Każdy mieszkał wygodnie i był codzień syty,
A Wisła rozdzielała Kraków od Kazimierza;
Kiedy wreszcie na miejscu rząd i władze wszelkie
Załatwiały wnet sprawy tak małe jak wielkie,
A niejednę z nich nawet już krótka rozmowa,
O co dziś trzeba pisać do Wiednia lub Lwowa,
Wyczekując cierpliwie przez ćwierć lub pół roku,
Przeciwnego częstokroć życzeniu wyroku,
Ależ panie! daremne już teraz lamenta:
Kto nie umiał być wolnym, niechaj dźwiga pęta!
Ja przeciwnie, dziękuję niebu za tę burzę,
I błogosławię oraz wrogów, lisy, tchórze,
Że mnie wcześniej wyparli z pola trosk i znoju,
I zagnali na błonia cichego pokoju.
Odtąd bowiem przeżyłem lat dwadzieścia zgórą
W zgodzie z sobą i ludźmi, z Bogiem i naturą,
Rozważając swobodnie żywota wypadki,
Póki śmierć nie rozwiąże onego zagadki.